

TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE

Zdzisław Czermański
Władysław Gorczyński
Oskar Halecki
Elżbieta Kossowska
Stefan Landau
Bolesław Pomian
Mieczysław Pruszyński
Zygmunt Stojowski
Kazimierz Wierzyński

No. 50

Nowy Jork, 12 grudnia, 1943 — New York, 21, N. Y., December 12, 1943

Cena 10 ct.

Do Czytelników

"Tygodnik Polski" kończy w tym miesiącu pierwszy rok swego istnienia.

Gdy zaczynaliśmy nasze wydawnictwo, zdawaliśmy sobie sprawę, że pismo tego typu walczyć będzie z trudnościami finansowymi, póki nie ugruntuje sobie bytu. W zrozumieniu tego, jak również w uznaniu wagi naszej pracy, ówczesny dyrektor Polskiego Centrum Informacji w Nowym Jorku, profesor Stefan Ropp, postanowił pokrywać niedobory "Tygodnika Polskiego" z funduszy tej instytucji.

Obecny minister Informacji i Dokumentacji Rządu Polskiego w Londynie, profesor Stanisław Kot, któremu podlega Polskie Centrum Informacji, cofnął udzielany nam zasiłek, motywując swoją decyzję tem, że pismo nasze nie spełnia swego zadania.

Jak czytelnicy nasi wiedzą, powstrzymywaliśmy się zawsze w naszej działalności od zadrażniających polemik, uważając, że pisać należy przede wszystkim o tem, co łączy, a nie o tem, co dzieli Polaków. Jeżeli dziś zmuszeni jesteśmy odstąpić od tej zasady, czynimy to w obronie zagrożonych podstaw pracy, którą podjęliśmy.

Chcemy więc stwierdzić, że wolno panu ministrowi Kotowi mieć taki pogląd na nasze wydawnictwo, jaki wyraził i wolno nam mieć inny. Są w naszym gronie ludzie, którzy mają w dziennikarstwie nie mniejsze doświadczenie, niż pan minister, i są pisarze, którzy w piśmiennictwie i w sprawach z nim związanych poszczycić się mogą większym autorytetem, niż naprawdę znakomity uczyony, jakim jest pan profesor Kot.

Nigdy nie byliśmy zdania, że "Tygodnik Polski" jest wydawnictwem bez niedomagań i błędów i nigdy nie opuszczała nas troska o polepszenie pisma. Pracujemy wśród trudności, które poznać może tylko ten, kto stanął bezpośrednio przy takim warsztacie, jak nasz, i wykonujemy podjęte obowiązki przede wszystkim z umiłowania zawodu literackiego, któremu poświęciliśmy życie. Wykonywanie tego zawodu, podobnie jak praca w naszym piśmie, jest niedaleka od działalności bezinteresownej. Piszemy o tem otwarcie, nie osłaniając niczego, bo nie mamy nic do ukrycia przed światem.

Pismo nasze wydajemy dlatego, że chcieliśmy i chcemy skupić w niem twórczość polską we wszelkich postaciach i dać jej możliwość wzajemnego poznania i wpływu. Chcieliśmy i chcemy utrwalić przez to jej znaczenie, dodać zachęty wysiłkowi duchowemu i umocnić poczucie tych wartości, które są dziś zagluzzone wypadkami bieżącymi i osłabione wyczerpaniem pracowników, skazanymi na rozsypanie, samotność a często na tragiczne załamania. Chcieliśmy i chcemy służyć kulturze polskiej, nieprzemijającej i nigdy przez żadnego wroga niezniszczalnej chlubie naszego narodu. Chcieliśmy i chcemy pokazać i udostępnić jej zdobycze naszym rodakom amerykańskim, tak znakomitym każdego potwierdzenia dumy i wielkości polskiej. Chcieliśmy i chcemy dokonać tego w czasie, kiedy w kraju tępią szeptem słowo polskie, zabita księżka polska, tropiona myśl polska, zakazana muzyka polska, zamknięty teatr polski, spalone biblioteki polskie i przerażająco niszczone każdy objaw ducha i życia polskiego.

Chcieliśmy i chcemy służyć tym ideom — i postanawiamy służyć tej nie przerywać. Postanawiamy wydawać pismo w dalszym ciągu i w tym samym duchu, mimo postawy ministerstwa w Londynie.

Utrwała nas w tem nietylko świadomość podjętego obowiązku lecz także przyjęcie naszego pisma przez czytelników. Niezliczone stale napływające ich listy są najlepszym dowodem, że nie działamy w próżnię, jakby się to komuś z jakichś względów sądzić podobalo. Z tego właśnie przyjęcia czerpiemy pewność, że mimo wszystkich niedostatków, które — powtarzamy — nie uchodzą w pierwszym rzędzie uwagi nas samych, "Tygodnik Polski" spełnia swoje zadanie.

Dlatego także apelujemy do czytelników i przyjaciół naszego pisma o pomoc w dalszej naszej pracy. Zmuszeni jesteśmy podnieść koszty prenumeraty rocznej od stycznia 1944 r. do wysokości 7 dolarów. Otwieramy jednocześnie listę sponsorów "Tygodnika Polskiego", na którą wpisywać będziemy każdego, kto złoży na cele wydawnictwa 20 dolarów lub więcej. Uprzejmie prosimy naszych czytelników o nadsyłanie zaległej prenumeraty i wpłat na rok następny. Prosimy także o rozpowszechnianie naszego pisma i jednanie nam nowych prenumeratorów.

Pozbawieni pomocy należącej się pismu służącemu kulturze polskiej a nieobliczonemu na zysk, zdani wyłącznie na własne siły, pozwalamy sobie wyrazić nadzieję, że czytelnicy, którzy tylekroć i tak gorąco wspierali nas swoim uznaniem, dopomogą nam w wysiłkach, by zapewnić istnienie "Tygodnika Polskiego" w przyszłości.

MIECZYSLAW PRUSZYŃSKI

TRZY BITWY

W 1939 POD KOCKIEM

Był chłodny wieczór 2 października. Batalion stał wyciągnięty na drodze wioskowej, gotów do nocnego marszu. Dowódca batalionu kapitan Miodowski z dwoma granatami zawieszonymi na piersi, wyglądał bojowo gdy dawał rozkaz: "Kierunek marszu — Kock; dowódca straży przedniej — podporucznik Pruszyński; wziąć drużynę na ochotnika; możemy spotkać na drodze Niemców; na pytanie: odpowiedzieć i zakłuć bagnietem; moje miejsce w marszu — zaraz za strażą przednią". Gdy wychodziliśmy z wioski, od strony Kocka doleciało nas kilka donośnych huków. Ktoś już się bił przed nami. Maszerowaliśmy, lasem. Pusto, ciemno, zimno. Było dobrze po północy, gdy wyszliśmy na szosę. Nagle sprzeczki się zatrzymały i unieśli karabiny nad głowy — znak regulaminowy oznaczający nieprzyjacielską broń pancerną. Istotnie na boku szosy stały trzy groźne potwory — spalone. Swąd spalenizny, jeszcze świeży, unosił się nad nimi. Na czarnych pancerzach świeciły w ciemności białe krzyże. Ktoś z naszych szedł już tedy, oczyścił nam drogę. Wacek zamarudził się przy nich i dołączywszy, rzekł: "Przyjmijcie się, panie poruczniku sztachnąć się zapachem spalonego Niemca".

Po świcie już przeprowadziliśmy się przez rzeczkę, na której most spalili w nocy nasi — tak nas informował młynarz. Był to, o ile pamiętam, Wieprz. Doszliśmy na ładny folwark, własność hrabiego Żółtowskiego, skąd jak na dłoń widać było miasteczko Kock. Przeszedł rozkaz z dywizji: Niemców w nocy wyparto z Kocka, batalion może się zakwaterować i wypoczywać. Żołnierze już się kładli spać, gdy przyszedł rozkaz jakiegoś nieznajemy nam batalion. Oficerowie wyglądali marsowo, zachowywali się głośno, energicznie oświadczyli, że im wyznaczono kwatery na folwarku. Kapitan Miodowski nie lubiał awantur, ustąpił, kazał batalionowi przemaszerować do sąsiedniej wioski. Byłem taką ustepliwością zgorszony.

Kapelan Ojciec Bocheński, z którym zwykle kwatrowaliśmy razem, już odmawiał brewiarz, ja spałem, gdy zbudziła nas strzelanina. Klnąc ubierałem się w pospiechu — przez cały wrzesień nie mogłem zgodzić rozkładu dnia z niemieckimi żołnierzami:

one zawsze się zjawiały gdy ja byłem w pijamie. Profesor papieskiego kolegium z brewiarzem w rękę biegał po chałupach budząc zaspaną kompanję. Potem do wieczora trwał normalny wrzesniowy kontredans: biegam po polu, leżę w rowie, ktoś jeży, kuchnia uciekała, wioska płonie. Syrokomla się mazywała, nasi mieli tam działka, odparli czołgi niemieckie, które nas od tyłu zająć chciały. Natomiast Niemcy odbili Kock. Batalion, który nas rano wykurzył z kwatery, był najbliższy, poszedł na pierwszy ogień, mało kto zeń ocalał.

Ranek czwartego października zimny, mgła. Front się ustabilizował: Niemcy trzymają Kock. Artylerja gra: tylko że na 10 pociągów niemieckich nasze działa odpowiadają jednym. Idę na patrol rozpoznawczy, czy niema Niemców w spalonej wiosce na przedpolu. Pusta. Ludność uciekła do lasu. Wśród zgłizzeń i rumowisk spaceruje stado gęsi. Jakiś staruszek wychodzi z za węgła. Chęć kupić gęś. Staruszek mówi: "Bierzcie panowie, gospodarze pomarli, domy spalone, kto tam wam będzie gęsi żałował".

Adjutant batalionu, gruby puciołowy rezerwista, zawieruszył się gdzieś jadąc z meldunkiem. Wraca wieczorem: brał udział w natarciu sąsiedniego batalionu; rozgromili Niemców w ataku na bagnety; wzięli do niewoli stu Niemców i kolumnę samochodową. Nie było dość kierowców, by uruchomić wozy, trzeba było część ich połać benzyną z baków i spalić. Kock znów w naszych rękach.

Gdy noc zapada batalion rusza w dalszą drogę, na zachód. Maszerujemy polną drogą. Nagle w ciemnościach nocy świecą na polu reflektory. Wóz niemiecki? Pięta kolumna? Jedzie na nas. Ktoś zastępuje drogę. Wóz nie staje. Podporucznik strzela z pistoletu w oponę. Wóz staje. Swoi. Wzajemnie wymyślają. "Oszaleliście, wskazywać Niemcom kierunek naszego marszu?" "Wóz ciężko ranego oficera, nie inogę trząść go po wertepach, bo skona" odpowiada energicznie głos. "A to co za odział?" Okazuje się, że ostrzelaliśmy własnego dowódcę pułku. Szuka nas bezskutecznie od rana, dlatego nie braliśmy udziału w popołudniowym boju.

WSPOMNIENIA

Ranikiem 5 października wchodzimy w oplotki Adamowa. Z piekarni jacyś żołnierze wynoszą świeży, pachnący chleb. Nie jedliśmy chleba od trzech dni. Na drodze stoją moene, kanciaste, samochody osobowe. Niemieckie wozy sztabowe, zdobyte pod Kockiem. Teraz siedzą w nich z dumą miną nasi żołnierze. Ten chleb i te wozy dodają wojsku otuchy. Wtór mówi: "Zdobędziemy Deblin", inny dodaje "o swobodnym oblężeniu Warszawy". Wieczny polski optymizm. Generał Kieberg powiedział mi trzy dni temu, że Warszawa padła, rząd i Rydz-Smigły już od tygodni są internowani w Rumunji, w Paryżu nowy premier Sikorski tworzy nową armję polską.

Znów kwatery, zaraz kładę się spać, Ojciec Bocheński goli się i wybiera się do kociołka odparwić Mszę. Ależ ten człowiek ma siły! Całą noc maszeruje, rozmowa zabawia żołnierzy, a w dzień też nie śpi, bo się modli. Popołudniu wielka chwila: fasunek chleba. Jest bochenków niewiele, szef nie chce brać na swoje tylko barki odpowiedzialności rozdziału, przynosi chleb na mą kwatery, sam robię geometryczne wyliczenia. Zaraz potem opuszczamy Adamów. Maszerujemy w kierunku wioski Krzywda. Droga dochodzi do lasu. Postój. Siadamy pod drzewami, w rowie. Czekamy, jak zwykle na wojnie. Drzewa mienią się zielenią, przedchodząc w burą czerwień i jasną żółć. Piękna tradycyjna polska jesień. Słońce zachodzi nad lasem. Dzwienie czerwony zachód. Jakby krew rozlała się po niebie. "Poleje się i jutro na ziemi" odzywa się pesymista.

Przychodzi rozkaz: Niemcy zajęli już Adamów, batalion zajmie stanowiska na skraju lasu. Przechodzimy koło leśniczówki. Przed nią stoi znana postać — generał Kieberg, dowódca grupy. De facto naczelny wódz polski od 18 dni. Salutuję. Poznałem mnie, pewnie po wielkiej czarnej brodzie, która od dnia mobilizacji zdążyła mi już wyrosnąć. "Czołem Pruszyński!" "Czołem panie generale!"

W nocy na zmianę: patrol pod Adamów, o kilometr przed nami Niemcy oświetlają białymi rakietami przedpole, jasno jest jak w dzień, trzeba przyspać do ziemi. Potem powrót do chałupy na skraju lasu: kolacja ze wspólnej miski, gospodyni ugotowała kartofli. Nagle alarm: czołgi. Wybiegam w czarną noc. Polem przed nami przewala się coś z chrzęstem i łoskotem. Już mamy puścić salwę z karabinu maszynowego — raczej dla dodania otuchy sobie i zaalarmowania oddziałów i sztabu za nami, jak dla obrony własnej, bo coś pomoże erkaem na czołgi — gdy nagle niebo się przewidnia i rozpoznajemy wozy i konie. Wyrwyjają polem na przelaj. To nasze tabory. Zabłądziły, wpadły na Niemców. Wracam do chałupy. Ale miszka z kartoflami pusta.

Ranek 6 października, jasny słoneczny. Kopymi stanowiska na skraju lasu. Około dziesiątej czujka sygnalizuje nieprzyjaciela. Tak na horyzoncie już i my widzimy sznur wozów ciężarowych, z których wyładowują się żołnierze. Niemcy. Ach, że nasza artylerja nie strzela! Zato niemiecka otwiera ogień. Niecelny. Maca. Po chwili jest i lotnik, rozpoznaje. Około południa Niemcy usadowili się już we wiosce na przeciw nas. Niedługo potem nadjechało konno kilku nieznanych oficerów. Z dowódcą batalionu lotnietują przedpole. Odjeżdżają. Kapitan Miodowski woła nas dowódców kompanji. "Będziemy nacierać". "Artylerja nas wesprze?" "Zrobię co mogę" odpowiada bez przekonania kapitan. "Opatrunki osobiste mogą dostać?" pytam. Kapitan wyjmując dwa z torby oficerskiej. "Jeden mi tylko już zostaje", mówi.

Co siły w nogach wypadamy z lasu i pędzimy w stronę wioski. Każdy rozumie o co idzie: aby jaknajwięcej drogi ubiec nim Niemcy otworzą ogień. Po chwili już słychać terkot karabinów maszynowych, ale śpieszą się, że strzelają. Biegniemy dalej. Ktoś upadł, jęknął. Padam w bzdę, muszę chwilę wycchnąć. I już rwiemy dalej, kule gwizdają teraz coraz bliżej. Coraz to bliżej padnie i już zostaje na ściermisku. Jedyne zbawienie dla nas to dobiec jak najszybciej do łąki przed wioską, tam są jakieś krzaki, doły. Jeszcze 100 kroków, jeszcze 50, dopadam do irygacyjnego rowu, padam dot jak nieżywy. Nie myślę o Niemcach, ani o własnym oddziale — jestem nieprzytomny ze zmęczenia.

Gdy podnoszę głowę dostrzegam na łące jakieś postacie chyłkiem uchodzące w stronę wioski. Niemcy. Wycofują się. Trzeba nacierać dalej. Ale jednocześnie podążę się do mnie dwa żołnierzy. Ranni. Rozcinam na pół opatrunek osobisty i przewiążuję rany.

Niemcy z wioski strzelają coraz zaciekłej i celniej. Z 30 kilku ludzi kompanji jest przy mnie już tylko 11 ciałych. Jednego podporucznika brak. Pewnie został na polu. Podążę się do grobli, za którą leży Zakrzewski, mój zastępca. Podnosimy głowy, rozpoznajemy stanowiska Niemców przed nami. Nagle Zakrzewski mówi: "Do stałem". Kula przestrzeliła mu pierś, wyszła plecami. Zdejmuje nu kurtkę, krew bucha, drę koszulę, bandażuje nią rany. Oddaję w o opiekę dwu najdzielniejszym żołnierzom — niech starają się wprowadzić go na tyły. I z kompanji zostało na żywo tylko osmiu. W sąsiedniej kompanji sytuacja podobna. Artylerja niemiecka

wali po nas coraz mocniej. Z bagnistej łąki tryskają w górę fontanny czarnej ziemi, błota. Z dalszego natarcia należy zrezygnować — decydujemy z dowódcą sąsiedniej kompanji. Ratować niedobitków póki czas.

Każę żołnierzom odczłowiwać się kolejno rowami irygacyjnymi do tyłu. Sam wpadam w bagno. Już myślę, że utoną. Gdy się z niego wydrapałem, widzę, że zostałem na łące sam. Braknie mi sił, by iść czołgać się rowem. Jestem za wysoki, by iść chyłkiem. Przechodzę do zachodu słońca. Niemcy przestali strzelać. Jest cicho, spokojnie. Teraz dopiero dostrzegam na łące krowę. I dwu pastuszków wychyla koło niej z trawy płowe główki. Nagle dech we mnie zamariera. Z za krzaka wychodzą Niemcy. Posuwają się w moją stronę ostrożnie, z pistoletami maszynowymi w rękach. Patrol. Jest ich pięciu. Nie mam sił, by się bronić. Niech się dzieje co chce. Leżę nieruchomo. Przechodzą, nie dostrzegają mnie. Nie dzwienie. Od stóp do głów jestem umazany błotem z bagna.

Po zachodzie słońca dołączam się do resztek batalionu w lesie. Kapitan Miodowski wraca z dywizji. Mówi: "No, koniec wstydnego. Generał przyjął parlamentaryjusz, zgodził się na złożenie broni. Już od rana artylerja nie miała amunicji, od trzech dni nie mamy środków opatrunkowych i połowa rannych umiera. Natarcie naszego batalionu było ostatnim w tej kampanji".

W 1940 POD NARWIKIEM

Norweska wioska nad fiordem niedaleko Narwiku. Wieczór 27 maja. Nasza kompanja "broni towarzyszącej" znajduje się częściowo w odwodzie.

Tego wieczoru tradycyjny bridge się nie udał. Przyjechał motocyklem w odwiedziny rotmistrz, dowódca kompanji sztabowej półbratry. Jako stary kawalerzysta jest miłośnikiem napoi wysokokokowych. Kierowa wyładował baryłkę z francuskim winem a rotmistrz grzmiał już od progu:

— Słyszalem, że zdupiliście do szczeru francuski magazyn żywnościowy? Myśmy załatwili się z jego piwnicą! Urządźmy dziś party! Nie można zanadto cierpieć na froncie!

Dyplomata Kazio Osuchowski ma już rozległe stosunki z cywilami, zwłaszcza wśród płci pięknej, niedarmo był swego czasu podporą chicagowskiego konsulatu. Nikt w tym kraju nie gardzi alkoholem, wszyscy przepadają za rumem, to też mobilizowanie grona okolicznych dziewi i poważnych gospodarzy nie jest zadaniem trudnym. Dowódca kompanji Kazik Sztarnak wznosił uroczyste pełną szklanką toast na cześć króla Haakona, sędziwy norweski rybak z modzieńską wermą i niezrozumiałymi słowy wybulgotał coś o Polsce i wychylił duszkiem drugą szklankę rumu. Potem piosenki "O mój rozmarynie" i "Jak to na wojenne ładnie" krzyżowały się na przemian z pieniemi potomków dzielnych Wikingów. Czas schodził szybko a przyjemnie. Nagle niedaleki grzmot wstrząsnął powietrzem. Potem drugi, trzeci, dziesiąty. Po tamtej stronie góry rozszalała się burza grzmotów. Artylerja. Nacięła się. Chyba działa okrętowe. Wydaje się, że góry nad fiordem trzęsą się od huków. Spojrzałem na zegarek — była minuta po północy. Jasno jak w dzień — o tej porze roku w tej części świata słońce nie zachodzi.

Lekko zawni wychodzimy na dwór. Huk dział nie słabnie. Wsluchujemy się weń, chcąc przeniknąć krzącają się za nim tajemnicę. Siadam na płocie. Ta szklanka rumu w rękę, te dzwieniny, te śpiewy — stają się nagle zbyt wielkim kontrastem wobec huków dział za górą.

Rotmistrz się żegna, wraca na kwatery. Norwegowie i Norweżki rozedchodzą się do swych malowanych na wszystkie kolory tecz, schludnych, wymytych domków. Kładziemy się spać — kto wie, co będzie za godzinę.

Rano dowódca kompanji wszedł do pokoju, zbudził nas i powiedział: — Wiedcie, co się stało? Tej nocy odbył się generalny szturm na Narwik. Narwik został zdobyty.

Potem coraz to nadchodziła nowa wiadomość: — Polacy uderzyli trzema batalionami na Ankenes, właściwy klucz do Narwiku. Legja Cudzoziemska uderzyła ze stątków na sam Narwik. Okręty wojenne brytyjskie podpiły pod Narwik i waliły w pozycje Niemców.

— Kompanja rotmistrza Zamoyńskiego dokonała brawurowego natarcia. Niemcy wzięli ją w ogień z flanki. W ciągu pół godziny kompanja miała kilkudziesięciu zabitych i rannych. Zamoyskiemu kula ostrzeliła muszkę od karabinu, wszyscy jego gońcy padli trupem.

— Generał w czasie natarcia wysunął od pierwszej linii. Gdy Niemcy przeciwuderzyli, o mało że sztabem nie dostał się do niewoli. Ratował się ucieczką.

— Batalion czwarty zdołał w porę dobiec i odeprzeć Niemców. Gdy wycofywali się barkami przez fiord do Narwiku, sierżant Różański, wiecie, ten marz, był na przedzie z dwoma erkaemami. Zatrpił sam pół setki Niemców.

— Zginął kapitan Moran, ten z ceka-mów. Niemcy ustawili jego zwłoki przy drzewie, w postawie kłęczącej z lornetą przy oczach: urządzili zasadzkę.

Dokończenie na str. 2-ej

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

DNO

To nie jest tylko żyzna, płodozmienna gleba, Inna karma nas jeszcze, innej nam potrzeba.

Prochu prochów, snów ziemnych, co z lat usypiska Powstają żywym kształtem, dotykalne zbliśka.

Skiby, która pośmiertnym rok w rok urodzajem Podwyższa nasze góry, poszerza się krajem.

Miedzy, gdzie się poranki mijają z nocami, Gdzie to, co było, będzie i jest — trwa nad nami.

Ziemi dla nas poczętej, która w nas się pleni, Zamyka czas, jak w garści, w bezbrzeżnej przestrzeni.

Sieje ziarno rozrzutnie, przykrywa zagonem I wgłęb nas dnem przyciąga, dnem niedocieczonem.

Tygodnik Polski i żołnierze

Do Redakcji "Tygodnika Polskiego"

Dom Żołnierza Polskiego w Londynie otrzymuje regularnie "Tygodnik Polski", żołnierze, lotnicy i marynarze, przybywający na urlopy do Domu Żołnierza, czytują go z wielkim zainteresowaniem i wyrażają głębokie uznanie dla jego wysokiego i wartościowego poziomu.

I dlatego, za miłą i bezinteresowną pamięć o naszych żołnierzach składam w ich imieniu i swoim serdeczne podziękowanie. Jednocześnie w związku z nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia i Nowego Roku, pozwalamy sobie przesłać na ręce Redakcji najserdeczniejsze życzenia.

R. Marciniowa
Kier. Domu Żołnierza Polskiego, Londyn.

The Polish Weekly

I am sorry to inform you I cannot overcome the difficulty in sending you the money for your paper. It is possible only as I am informed to send you a check. Being in the camp I am not able to do it at once so will you be so kind to wait for a few weeks.

We (that means all my friends) enjoy your paper immensely. So far as I know it is the only one copy in my unit and it is ex-

pected with great interest, or more greater now when our papers printed elsewhere are not entirely free.

Yours faithfully

Lt. F. Pawlak
Middle East.

Gentlemen:

Enjoy your weekly paper. Am keeping up with my Polish reading by this paper, also am passing it to other Polish boys in my squadron, who enjoy it as much as I am.

Thank you for the enjoyable reading.
Yours truly
A. Dombrowski
New Mexico.

Do Redakcji "Tygodnika Polskiego"

Bardzo dziękuję za przesłany mi numer "Tygodnika Polskiego". Proszę o łaskawe przesłanie mi dalszych numerów "Tygodnika", za co będę bardzo wdzięczny. "Tygodnik Polski" jest przez nas żołnierzy-artystów bardzo lubiany.

Jeszcze raz proszę łaskawie przyjąć moje najserdeczniejsze podziękowania i z całego serca życzenia powodzenia.

Kpr. J. Feuerstein
Middle East



BOLESŁAW POMIAN

ALLAH JEST MIŁOSIERNY I PRZEBACZAJĄCY

OPOWIADANIE

Wnętrze oficerskiej messy było tak samo standardowe jak na wszystkich innych Stacjach Królewskiego Lotnictwa. Te same głębokie, kryte skórą fotole, ten sam bar, taki sam kominek, na którego szerokim parapiecie stały srebrne kubki i trofea zdobyte przez członków messy w tenisowych czy squashowych turniejach. Jedyną różnicę stanowiło to, że wnętrze niekiedy pokrywała dzwieszka, nieskalaną niemiernym ogniem, czerwona glinka, że w oknach nie było szczytów, tylko gęsta siatka moskitiery — że pod sufitem sześcielić miarowo wielkie, czteroramienne punkały. Wszystko inne było tak niezmiennie, że George'owi wydawało się, że jeśli wyjrzy przez okno, ujrzy zieleniące się, niezrównaną zielenią, angielskie trawniki — wśród których rozrzucone będą wesole domki, kryte, nieodzwonione dla angielskiego krajobrazu, czerwona dachówka. Ale za oknami oficerskiej messy ścieliła się czerwono złota pustynia Arabskiego Półwyspu. O biały linij wybrzeża, aż po dalekie, sine szczyty skalistych gór, ścieliła się pustynia.

Opiekujący się przelatającymi przez stację załogami Wing Commander Martell, rozsadzający swych gości w głębokich fotelach i stwierdzający, że jest już po godzinie 6-jej, kłasnął w dłoń. Za to wysokiego baru wysunął się boy, ubrany — jak i wszyscy boy'e we wszystkich oficerskich messach w biały, obcisły kwaterczek ze złotymi guzikami. Tylko tuwarz boya była nadmiernie ciemna, rozświetlona parą wielkich, smutnych, typowo semickich oczu. Głową boya zdobił jedwabny, czerwono-błękitny turban. Wing Commander wydał polecenia — i teraz cierpliwie czekali na pojawienie się wysokich szklanek. Julek, którego górna warga, po niedawnym zgromieniu wosów, wciąż okrywała się drobnymi kropkami potu, wyciągnął z kieszeni tropikalnej koszulki tekturową kartkę pokrytą arabskimi napisami i zaczął się nią zawiązywać wachlować. To zwróciło uwagę gospodarza:

— Szanujcie Panowie te kartki, nie niszczyć ich i nie zostawiać się z nimi. Ocałowały już one wiele załóg.

— Jaka jest treść tych czarodziejskich kart? — spytał Tadek.

— Wręczono Wam, Panowie, kartki zawierają porządowanie dla sheika i zapewnienie go, że jesteście przyjaciółmi Arabów, pozbawieni obietnicy nagrody za przeprowadzenie was całych i zdrowych do najbliższego posterunku angielskiego.

— Czy skutkuje? — zapytał Julek.

— Tak. Arabowie opiekują się załogami które wyładowały na ich terytorium i przeprowadzają je.

Płacimy zresztą wynagrodzenie tak wysokie, że wartość nagrody przekracza wartość tego, co mogliby uzyskać, gdyby załogę zamordowali i obrabowali. System kartek poręczających, działa, jak dotąd, bez zarzutu — raz tylko jeden...

Z za baru wysunął się boy i zaczął rozstawiać wysokie szklanki. Gospodarz za milki i czujnym okiem kontrolował, czy boy należycie celebrował rytuał podawania whisky, ginger-ale'u i lodu. Gdy już przed każdym stała jego szklanka i boy z postą tacą oddalił się w kierunku baru — gospodarz podniósł szklankę: Cheers!

George błądził oczyma po niezmiernie pustyni złotego piasku i czerwonych skał, nad którą drgały rozpalone cząsteczki powietrza, sprawiając wrażenie, że cały niezmierny obszar pustyni — od białej linij wybrzeża, aż po granatowe ramy, majaczących o setki mi nagich, skalistych gór — unosi się i opada — jakby olbrzymie fale morza. W uszach dźwięczały mu wciąż słowa Wing Comandera Martella: "Once only... Czuj, że za słowami temi kryje się ciekawa opowieść i że tylko ukazanie się tacy ze szklanekami przerwało dotychczasowy ofi-

cera. Czekał. Wiedział, że jeszcze tego wieczora przyjdzie stosowna chwila, by poprosić Wing Commandera o dokończenie opowiadania.

Po kolacji towarzystwo nasze rozstawało się na tarasie. Na stacji był tylko jeden stół bilardowy, zajęty już zresztą przez Australijczyków. Na grę w ping-ponga było jeszcze stanowczo za gorąco. Czwartego, jak i zwykle, nie było. Pozostała więc tylko jedna możliwość miłego spędzenia wieczoru. Zresztą łód podawany w wysokich szklankach chłodził tak rozkosznie przepalone słońcem organizmy. Skierowaliśmy rozmowę na warunki lotu nad pustynią i na możliwości ocalenia w razie przymusowego lądowania, George rzucił:

— Poprzednio Sir wspominał, że jedna z załóg nie wróciła, że raz tylko jeden zawiązał system polecających listów — co się stało?

Wing Commander podniósł do ust szklankę, pociągnął spory łyk, przyjął podane mu papierosa, poprawił się w głębokim fotelu, wyrzucając daleko przed siebie swe obute w moskitiery nogi.

— Tak — jedna z załóg, trzech oficerów, została zamordowana. Zostali zamordowani przez człowieka, który spędził w naszej służbie wiele lat i który zasnął od nas w nieobrodziejstwie, którego ja sam darzyłem przyjaźnią i — który nie miał do nas najmniejszej urazy ani żalu. Ponieważ sprawę poznałem dokładnie — opowiem ja Wam, niech Wam służy za przestrożę, niech choć w części rozjaśni Wam, Panowie, te niezbędne drogi po których chodzi myśli ludzi pustyni. Choć i tak nigdy nie zrozumiecie ludzi Wschodu. Ja zacząłem swą tutaj służbę jeszcze za czasów generała Allenby'ego i Wielkiego Lawrence'a — spędziłem tutaj dwadzieścia sześć lat — opowiadałem język kilku szczepli (musicie wiedzieć, że niema wspólnego "arabskiego" języka) — i odchodząc stąd wyniosłem tylko jeden pennik, tylko jedną niewzruszoną wiedzę: nigdy człowiek Zachodu nie rozumie człowieka Wschodu. Zresztą oni, Arabowie, mówią to samo o nas. Historia, którą Wam opowiem, rozświetli Wam jedną stronę ich tajemniczych, sfanatyzowanych dusz, nakazuje Wam nikomu tu nie ufać — i to wszystko.

Byłem w składzie sądu, który skazał mordercę na śmierć. W myśl praw, według których postępujemy my, ludzie Zachodu, czułem że powinienem wydać wyrok śmierci — i wyrok taki z czystym sumieniem wydałem. Widziałem potem jak morderca stał w blasku wschodzącego słońca pod gładną ścianą oczekując na salwę egzekucyjnej squad'u. Spokój jaki rysował się na jego twarzy, jasność i męstwo jego oczu — każyły mi zrozumieć, że skazany ginął również z czystym sumieniem, że według praw które on uznawał — czyn jego był dobry i otwierał mu drogę do raju.

Well! Ale nie można zaczynać opowiadania od końca. Początek opowiadania datuje się od czasu, gdy generał Allenby prowadził zimą 1917 roku działania ofensywne w Syrii, uwięzione — jak może pamiętać — z doświadczeniem Damasku. Wśród licznych oddziałów partyzanckich, które przeprowadził książę Feissul, znajdował się także oddziałek Yousseffa el Bidan. Byłem wtedy młodym porucznikiem wspaniałego pułku huzarów Królowej, Queen's Own, — dziś zresztą zupełnie zmortyzowanego i walczącego, o ile mi wiadomo, gdzieś na Sycylii.

Oddziałek partyzantów Yousseffa el Bidan, w którym służył także i syn Yousseffa, młody Mohammed el Midan, został przydzielony do naszego pułku w charakterze guide'ów. Nie będę się zapuszczał w stare

dzieje. Gdy raz się zacznie opowiadać o walkach staczanych za swoich młodych dni — nigdy mi wiadomo, kiedy należy już przerwać, by nie znudzić słuchaczy. Wasz zresztą interesuje wypadek, który się zdarzył w 1943 a nie w 1917 roku. Dość, że młody Mohammed el Midan dzielił z nami, huzarami Królowej, dolę i niedolę wojenny i w setkach potyczek i starć dał dowód swej wrażliwości i odwagi. Opanowawszy brzoję język angielski i wykazawszy dużą lojalność, inteligencję i odwagę, spotkał się, już po zakończeniu działań wojennych — z propozycją wstąpienia w służbę angielskiego wywiadu. Mohammed propozycję przyjął. W tym czasie ja przeszedłem do Królewskiego Lotnictwa i wyjechałem do Anglii. Słyszałem tylko, że w czasie palestyńskich rozruchów Mohammed el Midan oddał nam szereg znaczących przysług. Gdy po paru latach pobytu w Anglii znów wróciłem w te strony, usłyszałem, że Mohammed żyje w jednym z górskich osiedli — w pobliżu, jak na nasze stosunki, bo tylko o osiem dni drogi. Nie mogąc opuszczać powierzonego mi oddziału na conajmniej trzytygodniowy okres, wysłałem do Mohammeda list, zapraszając go, by mnie tu odwiedził, na tejsze stacji. Panowie rozumiecie — Arab — ale zawsze towarzysz z tamtej wojny. Nie jedna wspólna noc pod gwiazdami. Nie jeden zagon na dalekie tyły niemiecko-tureckich wojsk. Panowie rozumieją — to łączy.

Wing Commander przerwał opowiadanie. Łagodnym ostróżnym ruchem uniósł do ust szklankę whisky, opróżnił ją długim spokojnym haustami i przywołał boya wskazując mu opróżnione szklanki. W czasie gdy boy napelniał nasze szklanki, Wing Commander obserwował z uwagą rytuał nalewania whisky, ginger ale'u i nakładania lodu. Gdy boso-stopy boy bezszelestnie oddał się w stronę baru, Wing Commander podjął opowiadanie:

— No — i odwiedził mnie — choć w zupełnie innych okolicznościach jak wyobrażałem sobie nasze spotkanie. Wprowadzono go pod strzechą. Poznał mnie odrazu i jego piękna, sucha, typowo semicka twarz rozjaśniła się uśmiechem. Jako dowódca stacji byłem jednocześnie przewodniczącym sądu. Wyznaczyłem zebranie sądu na drugą popołudniu. Byłem tak oszołomiony, że nawet nie poszedłem na lunch. Byłem bardziej przejęty sprawą Mohammeda niż on sam. O drugiej otwarłem posiedzenie polowego sądu. Mohammed w pierwszych słowach oświadczył, że mówi dość biegle po angielsku i że rezygnuje z usług tłumacza. Zgodził się na wyznaczonego mu obrońcę Flying Officera Wood'a i z uśmiechem dodał, że obrońca będzie miał niewdzięczną rolę, gdyż on się do wszystkiego przyznaje i nie zamierza prosić o złagodzenie kary. Po wstępnych pytaniach oddałem głos oskarżycielowi. Sprawa przedstawiała się jasno i bezspornie dla Mohammeda. Załoga złożona z trzech oficerów wyskoczyła z północnego samolotu. Wyładował szczęśliwie w górach na północ od Basharah i natychmiast zostali zauważeni przez Omara ben Sadi'ego, który wiedząc o przybiciach nagrodzie, zaopiekował się lotnikami, nakarmił ich a następnego dnia odprowadził ich do swego sheika Mohammeda el Midan. Mohammed wypłacił Omar'owi nagrodę i przejął od niego oficerów. Teżoż dnia jeszcze Mohammed el Midan wysłał dwóch gonców do Stacji Królewskiego Lotnictwa z listem, w którym zawiadamiał, że oficerowie są pod jego opieką i że nazajutrz wyśle ich do Stacji, do której powinni przybyć w ciągu 8-dni. Do listu Mohammeda był dołączony list pierwszego pilota, F-O Latham'a, w którym to liście Latham meldo-

wał, że znajduje się pod gościnną opieką sheika Mohammed'a el Midan i że spodziewa się być na Stacji za 8-9 dni a wtedy złoży raport o przyczynie i przebiegu katastrofy ich samolotu. Po przedstawieniu tych listów sądowi, oskarżyciel stwierdził, że gdy by o uphywie trzech tygodni oficerowie nie pojawili się na stacji — wysłano po nich ekspedycję ratunkową. Ekspedycja dotarła aż do Uel Mida, gdzie mieli przebywać oficerowie — i na miejscu usłyszeli od sheika, że oficerowie zostali zabici i pochowani. Dowódcą ekspedycji F/O Besford zarządził sheika Mohammeda el Midan. Oskarżyciel zakończył swą mowę, żądając kary śmierci. Mowa obrocy wypadła słabo. Podkreślił że Mohammed całe swe życie służył wiernie rządowi angielskiemu i że wielokrotnie oddał znaczne usługi. Wyraził też przypuszczenie, że zamordowani oficerowie musieli ciężko przekroczyć kłosek i to spowodować musiało ich śmierć z ręki obrażonego w swych prawach gospodarza. Obrońca wyraził głośno to, co myśleliśmy wszyscy. Przypuszczaliśmy, że zamordowani oficerowie musieli (mimo przerw, których wciąż Wam Panowie udzielały), zamieszać się w jakieś romantyczne sprawy z nadobnymi Lahlam lub Shahlam. Przypuszczaliśmy, że to uczucie dzikiej, pierwotnej zazdrości, tak silnie rozwinięte u ludzi Wschodu, zadecydowało o ich tragicznej śmierci. Udzieliłem głosu jednemu świadkowi oskarżenia. F/O Besford przedstawił fotografie zamordowanych, tak jak ich okopała wysłana ekspedycja we wskazanym przez Mohammeda miejscu. Stwierdził następnie, że Mohammed dobrownie się doń zgłosił i że o śmierci oficerów dowiedział się od samego Mohammeda. Obrona nie miała świadków — przeto oddałem głos oskarżonemu. Słowa jego pamiętałem omalże dosłownie, nie było ich zresztą zbyt wiele.

— Zabiełem trzech angielskich oficerów, których nigdy przedtem nie widziałem. Tylko ja planowałem i wykonałem napad. Spali w moim domu i wierzyli mi, nie miałem trudnej roboty. Ciosy zadawałem tak, by umierali natychmiast, bez bólu. Sam się zgłosiłem, gdy przyszli Twoi żołnierze. — Wiesz, że gdybym uszedł w górę — nie dostałbym mnie nigdy, ale nie chciałem, byście spali Uel Mida. Obrońca się mylił. Zabici oficerowie byli gentlemanami i zachowali się jak na oficerów i gentlemanów przystoi. Postąpił według Twego prawa — tak jak ja postąpiłem według mego prawa. Więcej nie powiem nic.

I rzeczywiście — już potem nie odpowiedział na żadne ze stawianych mu pytań. Zresztą była to zbędna kaskadja pytań. Sprawa była jasna i wyrok skazujący był oczywisty. Wysłuchał go spokojnie, jako naturalną i zrozumiałą konsekwencję swego czynu. Po wyroku zapytałem, czy ma jakieś życzenie, które sąd mógłby uwzględnić. Prosił by wyrok był wykonany w piątek — rozprawa miała miejsce we czwartek — i by ciało jego zostało odesłane do jego rodziny do Uel Mida. Zapewnilem go, że prośby jego zostaną spełnione. Podziękował mi i w jego pięknych, czarnych, semickich oczach zaigrał jakby cień uśmiechu. Skłonił się głęboko i odwrócił w kierunku wyjścia. Na mój znak, straż wyprowadziła go z sali. Rozprawa była skończona.

Wing Commander przerwał opowiadanie. Była już późna godzina i oprócz naszej za słuchanej grupki na tarasie nie było nikogo. Jednostajnie szeleściły wielkie cetero-ramienne punkały. Od pobliskiego wybrzeża niosł się łomot i szum nadechodzących przyfali. Aksamitny, miękki granat nieba był wyskrzywny miliardem gwiazd. W dole, w smugach oślepiającego białego światła reflektorów — miarowo — jak wahadła wielkich zegarów — wartowniczy przemierzali miarowymi krokami powierzone im straży odcinki. Te smugi światła, wartowniczy, kolezaste zasieki — zdawały się być czemś więcej niż tylko granicą rejonu Stacji Królewskiego Lotnictwa. Tu kończył się znany, nasz Zachodni porządek rzeczy. Ja syn jak światła reflektorów, konsekwentny jak kroki wartowników, nieprzystępny jak te stalowe zasieki. Tam, po przeciwnej stronie, w mroku, w pustyni niezmiernych obszarów — tał się niezanny, niedostępny, nieprzenikniony Wschód. Wiedzieliśmy, że nigdy żaden z nas nie pozna nie z tych rzeczy, które kryją się w tajni czarnego mroku, że nikt z biały nie zbadal jeszcze tych skalistych gór, które teraz czernią się na granatowym tle nieba — jak teatralne dekoracje przygotowane przez olbrzymiego reżysera do jakiegoś wschodniego, pełnego tajemnic i krwi, dramatu. Boy ukończył właśnie obrzęd nalewania whisky i obnosił wśród nas pudełko długich, wronnych cygar. W jaskrawym świetle podawanej zapalaki George widział suchą, spaloną słońcem twarz Wing Commandera Martella i na jeden krótki moment uchwylił spojrzeń jego szarych ocz. Oczy te, które zazwyczaj wyrażały jakąś przedziwną dobroć i wyrozumiałość — "mądre oczy", jak określił któryś z kolegów — teraz były przesłonięte jakimś odległym smutkiem, dalekim, nieznanym nam spraw.

— Pragnę za wszelką cenę uzyskać rozwiązanie tajemnicy, postanowiłem przeprowadzić z Mohammedem rozmowę w cztery oczy, przypuszczając, że czego nie chciał powiedzieć mnie, jako przewodniczącemu sądu, to może zechce ujawnić mi w rozmowie prywatnej. Pamiętając, że byliśmy towarzyszami bronią z naszych młodych lat, a to nie przemija bez śladu.

Mohammed powstał na moje powitanie. Jego wysoka postać pochylała się w głębokim ukłonie, a prawa ręka dotknęła koleno czoła, ust i serca. Jego piękne, czarne oczy patrzyły w moje otwarcie i beztrwonię. Chwilę milczałem, nie bardzo wiedząc o czego zacząć — nie widzieliśmy się przecież prawie ćwierć wieku. Mohammed odzwał się pierwszy:

— Pokój niech będzie z Tobą Sahibie — ale proszę odejść i zostaw mnie samego — w ostatnią noc mego życia nie chcę rozmawiać z rami'm.

Słowa Mohammeda dotknęły mnie głęboko — zrozumiał Panowie — Mohammed był moim towarzyszem broni, myślał o nim nigdy nie myślałem, że jest on tylko "dirty natiw" — a teraz dowiadywałem się z jego

ADAM MICKIEWICZ

THE STORM

(Crimean Sonets)

*In vain were seamen heaving at the rope,
Vainly they wrestled with the shreds of sail;
As trembling voices rose above the gale
The sun sank scarlet, with remaining hope.
On the green monsters dashing 'gainst our barge,
Death's Form seemed mounted, risen from the deep,
Driven by the wild wind's triumphant sweep,
Like a victorious army's final charge....
Some bade farewell to friends, and others prone
Fell to the deck, of all their strength bereft;
Some sought by prayer to avert the end.*

*Yet one man marvelled as he sat alone:
"Fortunate he whom all his strength has left,
Who knows a prayer, or who owns a friend!"*

Made into English by
F./Lt. Stefan W. Landau, R. A. F.

własnych ust, że ja jestem dla niego "roumi". Ogarnął mnie żal i gniew. Zapomniałem, że mówię do człowieka, który ma przed sobą tylko kilka — dokładnie siedem — godzin życia.

— Mohammedie el Midan — powiedziałem — gdy wkraczaliśmy do Barasheir, pamiętasz, na glinianych murach miasta widzieliśmy trupy ukrzyżdowanych arabskich kobiet z nożami powbijanymi w ich dłonie i stopy. Ty sam odwracałeś oczy od widoku małych dzieci arabskich powbijanych na żerdzie płotów — okrucieństwa, których nie chcę wylizywać, wstrząsnęły nawet waszemi twardeimi sercami, synowie pustyni. Tych okrucieństw, jak sam wiesz najlepiej, dopuszczali się Twoi współwyznawcy — Turcy, tak samo czcący Allaha jak Wy. W te dni, gdy wyzwalaliśmy lud pustyni z tureckich wiozów. — Ty mówiłeś do mnie: Bracie Sahibie. Upłynęło zaledwie ćwierć wieku — i stałem się dla Ciebie Rumi Sahibem. Myślałem, że dłuższą się Twoja pamięć, Mohammedzie.

Gdy później rozpałamy szczegóły naszej rozmowy, doszedłem do wniosku, że to właśnie szerokość mego gniewu rozwiązała usta Mohammeda.

— Nie chciałem urazić Ciebie, Bracie Sahibie. Pamiętam żywo nasze dawne braterstwo broni i pamiętam dni i noce pod gwiazdami Syrii. Byliśmy wówczas młodzi. Teraz postarzelśmy się obaj i rozeszły się nasze drogi. Ale nie chcę, byś źle mnie wspominał, nie chcę cię urazić, na dowód tego powiem Ci, czemu zabiłem Twych oficerów. Słuchaj. Urodziłem się, wzrosłem i żyłem na pustyni. Ty wiesz, jakie jest życie pustynnego Araba. Często głodne nie syte, częściej w walce niżeli w pokoju. Ale nie znamem nie innego i popijając zgłnie daktyle cuchnącą wodą z wysychającego od letnich upałów źródła, chwaliłem Allaha za jego dobroć i dary. I tak prawdopodobnie przeszedłbym przez całe życie — jak przedtema przeszedł moim ojcem i ojcowie ich ojców, pilnie strzegąc przykazania Koranu i kornie poddając się woli wszechmocnego Allaha. Ale w księgach przeznaczeń było zapisane, że życie moje splecie się z życiem rومی. Niezbadane są drogi Allaha. Gdy miałem 22 lata, ojciec mój wziął mnie z sobą w daleki świat, na świętą ziemię, pod sztandar wielkiego Lorensa. Po wielu dniach pochodu, w którejś z nadjordaniskich dolin ujrzałem pierwszą rzekę o zimnych, czystych wodach. Dla nas, Arabów z pustynnego Oman'u, był to cud! Godzinami patrzyliśmy jak po omszałych głazach toczy się czysta, świeża, pachnąca woda. Wtem, Wy ludzie z Zachodu nie rozróżniacie zapachu wody — woda pachnie tylko dla człowieka pustyni. Godzinami patrzyliśmy na spływającą wodę i ponagliłem do dalszego pochodu — prosiłymi, by pozwolono nam pozostać tak długo aż woda spłynie ze skał. Ta płynąca woda to była dla nas cud! Czy mogliśmy odejść z przed oblicza niepojętego Cudu? Czekaliśmy dwa dni, nie wierząc, że woda płynie tak już od tysięcy lat. Pamiętam, odchodziliśmy niechętnie i z żalem, że nie pozwalają nam być świadkami aż Cud wypłni się do końca. Potem — jak wiesz — widziałem żyłę źródła, rzek i jezior. Widziałem jak żyła rومی i buntowało się moje serce przeciw przedwiecznemu wyrokowi Allaha. Nie mogłem pojąć, dlaczego Wam, niewiernym, dał piękne kraje porzerynane przez zyciodajne rzeki, a nam, swoim wiernym, pustyni. Im dłużej patrzyłem na waszą mądrość, potęgę i bogactwo, tem bardziej buntowało się przeciw wyrokowi Przedwiecznego, tem bardziej oddalało się moje serce od nauki Proroka.

Gdy skończyła się wojna, nie chciałem wracać do zginiętych daktyli, cuchnącej owoce, do twardego życia, którym żyli moi ojcowie i ojcowie ich ojców. Wstąpiłem do waszej służby. Poznałem wielu rومی. Byli wśród nich tacy, którzy nie znając nauki Proroka — żyli tak, jakby przykazania Koranu mieli wyryte w swych sercach. I spotkałem wielu wiernych — w których sercach mieszkają zdrada i nikczemność. Zrozumiałem, że nie kolor skóry, ani sposób modlitwy stanowią o wartości człowieka.

Zaczęłem wątpić w jeden z głównych dogmatów naszej wiary, że tylko nauka Proroka jest jedyną drogą wiodącą człowieka do Boga. W ślad za tą wątpliwością przyszyi inne. Wątpliwość te były jakby usuwającymi się fundamentami, na których była zbudowana świątynia mojej Wiary. W zapomnienie szedł przykład ojców i nauki kłopotliwych muftich. Czyż może się ostać gmach z pod którego wyrwano filary, stanowiące jego fundament. Przez lata następne byłem wyznawcą Proroka jedynie z nazwy, obyczają i stroju. W serce nie miałem już wiary! I tak byłbym zapewne odszedł w wieczyste potępienie — gdyby nie miłosierny Allah, który na drodze mego życia postawił Wielkiego Ojca Wiernych, Mufti'ego Mediny.

Ten świętobliwy starzec pomógł mi zrozumieć mój błąd — wytłumaczył mi, jak

wielką jest sprawiedliwość i dobroć Allaha. Zrozumiałem jak straszliwie bluźnięm, zazdrościłem rومی'm ich szczęśliwego życia, jak wielkim grzechem i obrazą Proroka było moje życie w Waszej służbie. Czyż nie słusznie uczynił Allah, że wam o rومی dał najpiękniejsze kraje tego świata i życie wasze uczyni łatwiejszym, miłszym i szczęśliwszym niż życie swych wiernych wyznawców? Przecież dla was rومی wszystko się kończy z chwilą śmierci. Jesteście szczęśliwi za życia lecz nawet najmniejsi wśród was boją się śmierci, gdyż śmierć jest dla was końcem wszystkiego. Nam, swoim wyznawcom przeznaczył Allah — w swej niezgłębionej mądrości — twarde i surowe życie. Nie dał nam ani dziwnych, jak śmiech dziesięciu, potoków kryształowej, górskiej wody, ani powolnych, srebrnych rzek, tocących się przez urodzajne pola ani cichych, sennych jezior. Nie dał nam Allah ani żynnych pól ani bogatych miast. Ale dla nas — wiernych — życie jest tylko krótkim okresem próby. Śmierć dla nas nie jest końcem ale początkiem szczęśliwości. O, Wielki i Miłosierny jest Allah i Wielkim jest Jego Jedyny Prorok, który życie wiernych uczynił ciężkie i twarde, aby ich przygotował do wiecznej szczęśliwości.

Za radą Wielkiego Ojca Wiernych rzuciłem waszą służbę i wróciłem do swoich. Jak wiesz, byłem synem sheika i po śmierci mego ojca — niech Allah będzie łitościwy dla duszy wielkiego wojownika — sam zasiadłem przed zielono-złotym namiotem. Gdy przyprowadzono mi Twoich oficerów, zapłaciłem za nich należny okup Omarowi ben Sidi i przyjąłem ich jako swych gości. Pokazałem im medal, jaki otrzymałem od Twojego króla — niech łaska Allaha kieruje Jego krokami i świadectwa mojeje u was służby. Cieszyli się, że władam ich mową. Byli tak młodzi, cieszyli się uratowaniem życia — kipieli wprost radością odzyskaniem życia. Byli tacy sami jak Ty, Bracie Sahibie — i ja, za naszych młodych, burzliwych dni. Gdy usnęli znużeni codzienną drogą, wyszedłem przed namiot. Na niebie lśniły gwiazdy. Była gorąca sierpniowa noc i wiele gwiazd spadało, kreśląc w przolecie jasne łuki na granatowym niebie. Rozmyślałem, że za wolą Allaha i moja gwiazda wkrótce spadnie. Któż dostrzeże brak jednej gwiazdy na niebie?

Zaczęłem myśleć o swem życiu. Wszystko wydało mi się małe i nieważne. I cóż mi po tem, że zyskałem bogactwo i szacunek wśród swoich i dobre imię u rومی — jeśli zubożam swą duszę? Miałem przez całe życie wiele świeżej, pachnącej wody i tustego mięsa i kornych niewolników i posłuszne żony — ale utraciłem łaskę Allaha. Siedziałem przed namiotem, patrząc w spadające gwiazdy i całe życie moje przesuwało się znowa przed moimi utrudzonymi oczyma.

Dookoła była cisza, była taka cisza, że słyszałem było jak wiatr trąca swem tchnieniem piaski rozpalonych diun. Któryś z oficerów zaczął coś mówić przez sen. Nie mogłem zrozumieć niewyraźnych słów ale słuchałem obcych dźwięków mowy rومی — i na duszę moją spłynęła łaska objawienia. Zrozumiałem, że Allah w swej nieprzebrańej dobroci ofiarowuje mi ostatnią możliwość zbawienia mej grzesznej duszy.

Zabij tych rومی, w ich krwi zmży grzech odstępstwa od wiary ojców. Zabij tych rومی — szmerają liście wysokich palm. Zabij tych rومی — zawołał wiatr przysypujący piaski pustyni. Zabij tych rومی — mrużyły srebrne gwiazdy. Twój sztylet, który nurzałeś tylko we krwi współwyznawców — obmyj teraz we krwi rومی. — Staniesz czysty przed sądem Allaha. Allah jest miłosierny i przebaczący.

Wszedłem do namiotu. Reszta już Ci powiedziałem na sądzie. Jutro zginę z ręki niewiernych. Zginę w piątek. Dusza moja uleci prosto przed tron Allaha, który jest miłosierny i przebaczący. Teraz wiesz wszystko. Odejdź w pokoju, Bracie Sahibie i niech łaska Allaha oświeci kiedyś i Twoją duszę. Odejdź — gdyż pragnę się modlić.

— Wszedłem — kończył opowiadanie Wing Commander — zostawiając Mohammeda el Midan zatopionego w rozmowie ze swoim Bogiem. O świecie go rozstrzelano. Kule oszczędziły jego twarz. Nie musiał cierpieć, gdyż usta jego zastężyły w lasce uśmiechu.

Wing Commander Martell milczał — i nikt z nas nie przerywał milczenia. Była już późna godzina i gwiazdozbiór Orion'a wyszedł z za czarnych skalistych szczytów gór na aksamitne, łaskawem światłem. Najpiękniejsza z gwiazd Betelgeuse'a świeciła jasnym, łaskawem światłem. Tak samo musiała świecić ognis nad ziemią Judd'a — gdy świecił świat był młody — a po kwiecistych łakach nadjordaniskich dolin kroczył Nauczyciel, którego nauka zamykała się w słowach:

"Potem ludzie poznają, żeście uczniami moimi, że się wzajem miłowacie"

(Dokończenie ze strony 1szej)

TRZY BITWY

— Niemcy wycofali się nad granicę szwedzką, daleko w góry. Część już przeszła do Szwecji.

— Ale jedzenia i broni zdobyliśmy w Narwiku! Piękny aparat fotograficzny Leica podarowali żołnierze generałowi. Francuzi już oporzadają kasyno oficerskie niemieckie. Nasi nabierali pistoletów. To wszystko, co gazety piszą o głodzie w Niemczech to bujda. Ileż prowiantu zastaliśmy na stanowiskach niemieckich: paszety, marmolada, masło, czekolada. My tak w górach nie jesteśmy karmieni, jak oni byli.

— Poległ szeregowiec Szeliski. Wiece, ten dyplomata, przed wojną był radcą ambasad w Rzynie. Niedawno zgłosił się do ochotnika do wojska. Nie chciał być w sztabie tłumaczem.

— Pogrzeb poległych jutro. Nie można było zwieźć zwłok. Trzeba było je znieść gorami, po wterpach. Smutne i ciężkie było to zadanie.

— Mój brat żyje? — pytałem z niepokojem. Ktoś mnie zapewnił, że widział go zdrowego już po natarciu. Odetchnąłem.

W 1941 POD GAZALĄ

Połowa grudnia. Brygada Karpacka po Tobruku ruszyła pustynią na zachód, w ślad za cofającymi się wojskami osi. Ujechałmny już do 60 mil. "Na skrzyżowaniu traktów pod Gazalą", brzmiała informacja ze sztabu, "posterunek zandamerji brytyjskiej wskazuje dalszy kierunek marszu". Co za idealna organizacja na tej wojnie — dziwiuje się. Ale przychodzi rozporowanie: nasze ubezpieczenie przednie zamiast na zandamów brytyjskich natyka się na zorganizowaną przez nieprzyjaciela mocną linię obronną. Wkrótce nadchodzi rozkaz od dowódcy 13 brytyjskiego Korpusu: brygada polska zatakuję i zdobędzie nieprzyjacielską pozycję pod Gazalą.

Pelnący obowiązki dowódcy dywizjonu przeciwpancernego kapitan Jurczyński zwiya nam 15 grudnia w południe i wydaje rozkaz:

O godzinie 15 — oba bataljony piechoty ruszają do natarcia. Dowódca brygady wyznaczyl pańskiej baterji zadanie: ubezpieczyć lewe skrzydło natarcia przed

spodziewanem przeciwdzierzeniem nieprzyjacielskich czołgów.

Ruszać z baterją w pustynię. Busola i licznik samochozu są jedynym przewodnikiem. Roboty wymaga precyzji: pomyle kilometr czy katy a zamiast na swoich wyjeździe na Niemców. Ujechałszy z 6 kilometrów, spotyłam w oznaczonym miejscu zapowiadziany bataljon nowozelandzki, z baterją przeciwpancerną na stanowiskach. Jest tu miło, bezpiecznie, ale za daleko gdyż ze trzy kilometry najmniej do lewej flanki naszego nacierającego bataljonu. Z tej odległości nie będziemy w razie czego mogli spełnić zleconego zadania. Nowa decyzja narzuca się sama przez się: opuścić Nowozelandczyków, pojechać pustynią trzy kilometry na północ, tam powinniśmy spotkać skrzydło nacierającego bataljonu. Ruszamy, pole widzenia dalekie, więc wozy biorą potrójne odstępy, szef zdejmując płacitę z trytonówki, by swym imponującym wyglądem nie ściągala na nas ogień. Dowódca dywizjonu żądny zgiełku bitewnego też się zjawił, adiutant podjeżdża, pyta gdzie baterję prowadzę? "Wykonujemy zadanie zgodnie z treścią, nie formą", odkrzykuje. Jedziemy. Otrzymujemy ogień artylerji. Zabija kaprala Mokrzyckiego z pocztu dowódcy dywizjonu. Spodziewałem się ognia ale nie tego, że aliancka artylerja da nas kropnie. Po ujechaniu trzech kilometrów chowamy się za faldą terenu. Zastajemy tam wysunięty pluton piechoty nowozelandzkiej i karjery skrzydłowego bataljonu, z dowódcą, młodziutkim, niedawno przez generała Sikorskiego awansowanym w Tobruku, kapitanem Klisimem. Ten informuje mnie, że natarcie bataljonu w ciężkim ogniu się zatrzymało, że pozycja bataljonu bęgnie kilkaset metrów za nami. A więc baterja nasza znajduje się przed lewą flanką bataljonu — nie może mieć żadnego lepszego stanowiska dla spełnienia wyznaczonego zadania. Kapitan Klis ma aparat radiowy, śle nim dowódcy bataljonu meldunek o zajęciu stanowisk przez nas. Dzieńka są na stanowiskach. Artylerja nieprzyjacielska kroi koło nas, serje z karabinów maszynowych przelatują nad głowami, faldą terenu okazuje się nieoceniona. "Sierżant Jezierski ranny", ktoś woła. Nie,

pościk padł obok, sierżant dostał odpryskiem skały w głowę. Przed wieczorem nadjeżdża plutonowy Kwieciński z rozkazem ze sztabu brygady: "Baterja wysunęła się zbyt daleko, ma wracać do Nowozelandzkiego bataljonu". To musi być omyłka. W sztabie pewnie nie zdają sobie sprawy z 3 kilometrów odstępu między Nowozelandczykami, a flanką baterji. Piszę meldunek. Wyjaśniam sytuację. Wstrzymam się z wykonaniem rozkazu do jego potwierdzenia. Nadchodzi noc. Karjery odjeżdżają do bataljonu uzupełnień benzyny. Zostajemy sami z plutonem Nowozelandzkiem. Ciągami działka bliżej jedno drugiego, w boju nocnym w kupie różnie. Trudno spać. Nieprzyjaciel o miłe od nas, coraz to posyła nam serje z karabinów maszynowych. Chwilami ogień się wzmagaa. Czyżby uderzał? Nie, tylko dla dodania sobie otuchy tak hałasuje. Przechwytam Nowozelandczycy robią wypad, wradają z jeńcami. Gdy się rozwidnia, kapitan Jurczyński przywozi rozkazy sztabu, który trwa przy swoim: baterja zaraz odjedzie w rejon Nowozelandzkiego bataljonu.

Gwizdek, sygnał walki, działka są już na wozach, już walmy pustynia na południe. Ranek grudniowy w Libji mroźny, po niezpraszanej nocy, bez kolacji, m

ELŻBIETA KOSSOWSKA

ARTYŚCI POLSCY W BRAZYLII

(KORRESPONDENCJA WŁASNA)

Kochana przez warszawską publiczność Dora Kalinówna, której niezapomniane kreacje z "Qui pro quo", "Morskiego Oka" i "Bandy" wszystkim nam pozostały w pamięci, zdołała wydrzeć się z Warszawy i po długich i dziwnych wędrówkach dojechała do Brazylii. Ludzie, którzy przeżyli bombardowanie Warszawy, opowiadali mi, że widzieli tam Kalinównę, nie tylko w olbrzymim schronie, jakim był podziemie Reduty, mieszczącej się w Związku Ubezpieczeń przy ul. Kopernika 36 ale także i w salach szpitalnych, gdzie śpiewała innym piosenki i recytowała monolog. Nie zapomnę jej tego chłopcy, którym tak było potrzebna otuchy i pogodnego słowa w chwilach bardzo niewesołych.

Brazylia jest krajem pięknym, Rio jest miastem przepięknym ale rzeszy Polaków, jaka tu uchodząca falą z Europy przybyła, jest niewesoła. To też fakt, że Dora Kalinówna stworzyła swój teatr, o charakterze pierwszorzędnej nadszenki literacko-artystycznej — pozostanie niezapomniany przez Polaków, których już nie cieszy ani wieczne jasne słońce ani wieczne lazury ocean ani wieczne zielone pagórki Corcovado czy Pao Asucar.

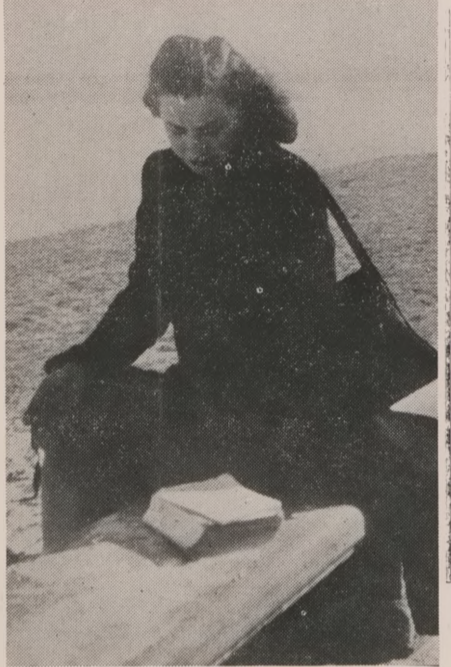
Kalinówna stworzyła rzecz, jak na Brazylię zupełnie nową. Wprawdzie Brazylia ma swój własny teatr, który bardzo kocha — dramatyczny i komediowy i kabaretowy oraz sławne "Casino's", w których występują ściągane z całego świata "gwiazdy" śpiewacze, taneczne, sztukmistrz, ekwilibrysty, żonglerzy, komicy, itp., wprawdzie nawet miała przez pewien czas i operę własną poza przyjęciem (całe zespoły z Francji tak operowe jak dramatyczne, np. Jouveta) — ale takiego teatru, jak Kalinówny nie było. I rzecz bardzo ciekawa: podczas gdy wszystkie teatry rioskie idą dość słabo, teatr Kalinówny miał już trzy przedstawienia wypełnione. Publiczność i krytyka przyjęły ją z entuzjazmem. Ale było za co. Kalinówna, nauczysz się nie tylko przedko i dobrze portugalskiego, wystąpiwszy już kilka razy tak w Rio, jak w Sao Paulo i w kuracyjnej miejscowości Pecos de Caldas, wykonała niewielki ale bardzo estetyczny i przytulny teatr w "cinelandji" rioskiej zwany "Cerrador" i wiedząca instynktem rasowej w swym gatunku artystki, wciągnęła do współpracy przedwzrostkiem najlepszych pisarzy, jak Manoel Bandeira, Murillo Arango, Guilherme de Almeida, Claude Manceel a przedwzrostkiem dwóch najlepszych komedjo-pisarzy, jako konferansjerów: Alvare Moreira i Joracy Camargo.

Jako muzyków pozyskała sr. Auguste Vesseur i Alvare Meidenca, zaś na partnerów, uzupełniających program, tancerza szwedzkiego Gerta Malmgrena i brazylijską aktorkę Aurorę Aboim. Zasiadała z pisarzami do tworzenia repertuaru, homocjami z nimi, wyszukiwała teksty, nuty, pisała, nośła je po redakcjach, robiła z Kossowską afisze i kostiumy, reżyserowała światła dla swego szwedzkiego tancerza, robiła próby z Aurorą Aboim, ustawiła dekoracje, ba! ułożyła tekst biletów niezmiernie skomplikowany jak na tutejsze warunki, gdyż były to bilety... abonamentowe! Tak. Abonamentowe. Ludzie kupowali odrazu bilet na trzy przedstawienia, które się odbywały co poniedziałku. Program każdego spektaklu był inny, choć charakter ten sam i artyści ci sami, no i przeważnie... publiczność ta sama.

Rzyko było wielkie ale jest stare karciane przysłowie: kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. Kalinówna zaryzykowała i wygrała: teatr był na każdym przedstawieniu wypełniony zupełnie, programy coraz inne a wszystkie bardzo dobre. Pierwsze przedstawienie odbyło się pod patronatem prefekta Rio de Janeiro Henrique Dotsvortha, drugiemu patronował Poseł R. P. z małżonką, a trzeciemu minister dr. Capanema. Prasa przyjęła nowy gatunek teatru w Brazylii niesłychanie entuzjastycznie a publiczność za każdym razem była brawo. Pierwszy i trzeci program były ładne i bogate i składały się z całego szeregu piosenek, monologów i sketchów w siedmiu (zdaje się) językach, w czym polski grał nieposłuszną rolę. Kalinówna bowiem nie tylko śpiewała i deklamowała przedrobki polskich rzeczy ale też i po kilka polskich piosenek śpiewała w oryginale. Okazało się, że wszystkie przy odpowiedniej konferansjerce, są do przeknięcia przez brazylijską publiczność. Drugie przedstawienie, jak wspominałem, było pod protektoratem Posta R. P. Ministra Skowrońskiego, toteż i program tego przedstawienia składał się z znacznej ilości utworów polskich. Rioska publiczność usłyszała i "Umarł Maciek, umarł." i "Piosenki Warszawskie" Hemara doskonale przełożone przez Murilla Arango, śliczną "Kolendę" Balińskiego, znakomicie przetłumaczony przez pierwszorzędnego poetę brazylijskiego Renato de Almeida p. t. "Cantico de Varsovie", ("Kantyczka") podczas której publiczność śkała... — Wesole "numery" programu powodowały huragan śmiechu. Znanym monolog "Nauczycielki tańców klasycznych" zdobył sobie wielkie powodze-

nie ale sukces rekordowy zdobyła piosenka sentymentalna (zdaje się Hemara) p. t. "Pieciu marynarzy z Albatrosa"; — Brazylijanie marynarski naród, więc nie dziwnego, że i los załogi "Albatrosa" nie mógł dla nich pozostać obojętny.

Kalinówna swoim polskim repertuarem, a przedwzrostkiem siłą swego talentu stwarza atmosferę rzetelnej przyjaźni i sympatii dla Polski. Dziś, wobec przeci-



Irena Eichler-Stypińska

gającej się wojny, gdy nerwy ludzkie nie wytrzymują często napięcia stale wzrastającego czy to wskutek sytuacji ogólnej, czy też zdarzeń dotyczących poszczególnych jednostek — piosenka czy dobry, smaczny dowcip lepiej trafiają do serc i mózgow niż przemówienia czy nawet artykuły pierwszorzędnych piór.

Nieomal że równocześnie z teatrem Kalinówny grupa amatorska francusko-brazylijska urządziła w miejskim Teatrze Wielkim bardzo piękne widowisko p. t. "Cega-Rega", polegające na szeregu żywych obrazów i powiedzmy "obrazów ożywiających": oto przewodnik galerii w Louvrze oprowadza piękną damę po salach i objaśnia obrazy, jakie ją interesują, a gdy już powie, co należy w formie dowcipnej, często rymowanej — oddala się, a postacie obrazów występują z ram i w tańcu przechodzą przed oczyma widzów teatralnych. Widowisko, które było wynikiem olbrzymiego wysiłku (nawet bardzo zdolnych) amatorów — stało się jeszcze jednym dowodem, jak bardzo pożyteczna może być. Dora Kalinówna. Idzie tylko o to, by ją należyście wykorzystywać: teatry Ameryki Południowej stoją pustkami, czekają na artystów, czekają na przedstawienia, co... kiedy niema ich kto organizować. Prawda, trudności są wielkie, ale przecie ta kochana, świetna Dora przydałaby się niesłychanie n. p. w Ameryce Północnej; a także i w Anglii, gdzie mogłaby pracować nie tylko w polskich ale i w angielskich czołówkach teatralnych. Takich sił jest niewiele.

Bawi (ach, jakie nieostrowne jest to słowo w odniesieniu do nas, Polaków na uchodźstwie) — a więc jest tu od przeszło dwóch lat znakomita śpiewaczka — nasza Wanda Wermińska. W ubiegłym sezonie śpiewała dosyć wiele w operach, wystawianych w Teatro Municipal, miała też kilka koncertów w Sao Paulo, obecnie dostała dobry kontrakt do Chile. Podobno ma w krótkim czasie już wyjechać a nosi się podobno także z poważnymi zamiarami wyjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Także od trzech lat przebywa w Rio znany aktor i reżyser teatrowy warszawskich Zbigniew Ziemiński. W bardzo trudnych tutejszych warunkach zorganizował dobry zespół amatorski, złożony ze słuchaczy uniwersytetu i wystawił w ubiegłych latach trzy sztuki. Obecnie pracuje nad wystawieniem "Kresu wdrowki", gdzie ma grać główną rolę a równocześnie robi z jednym z brazylijskich reżyserów ciekawy film.

August Zamojski, znany rzeźbiarz, który zorganizował przy tutejszej Akademii Sztuk Pięknych "Wolny Kurs Rzeźby", nie zaniedbał indywidualnej pracy: miasto Bello Horizonte zakupiło od niego rzeźbę zwaną "Cermela". Obecnie Zamojski pracuje nad pomnikiem Chopina, który będzie ofiarowany przez tutejsze Poselstwo miastu Rio de Janeiro i stanie na jednym z głównych placów.

Młoda, nieznaną dotychczas rzeźbiarka, Hanna Kwiatkowska wystawiła poraz pierwszy w t. zw. "wiosennym salonie" jedną z swych rzeźb, ładną głowę męską, zdobywając srebrny medal. P. Kwiatkowska przebywa stale w Sao Paulo, gdzie wzięła udział w wystawie lalek na dochód Brazylijskiego Czerwonego Krzyża. Lalka polska w stroju krakowskim otrzymała pierwszą nagrodę. Współautorką p. Kwiatkowskiej była p. Wędrzialska, która malowała kostjum "krakowianki".

Kompozytor, pianista, dyrygent i znany profesor konserwatorium Aleksander Sienkiewicz po kilku koncertach, jakie odegrał z wielkim powodzeniem, podpisał z prefekturem miasta Rio kontrakt, na sezon minioiny i dyrygował całym cyklem koncertów symfonicznych. Ostatnio wystąpił Sienkiewicz jako dyrygent wspomnianej "Cega-Rega", owego amatorskiego ale pięknego przedstawienia, o którym wspominałem wyżej a dla którego ułożył ilustrację muzyczną.

Niewielki zastęp naszych artystów, przebywających w Rio zamyka nazwisko Ireny Eichlerówny-Stypińskiej, dla której Brazylia nie ma wielkiego pola pracy.

Irena Eichler-Stypińska racuje usilnie nad językami, ucząc się po brazylijsku i angielsku, ciągle myśląc o teatrze. Na ucho przyjaciela sobie mówią, że Irena Eichler-Stypińska przygotowuje sobie w tajemnicy "jakiś repertuar estradowy". Napewno będzie to rewelacja.

Byłabym niesprawiedliwa, gdybym, wymieniając artystów nie wymieniła znanej śpiewaczki p. Janiny Czaplńskiej, która

rzuciwszy scenę i to nie bylejaką, gdyż scenę w znaczeniu światowym — osiadła już na długo przed wojną w stolicy Brazylii, czyniąc bardzo wiele dla naszego wychodźstwa dawniej a dla naszego uchodźstwa teraz. Szczególniej artyści, polscy, których fala wojny przyniosła tu poprzez oceany, stali się przedmiotem serdecznej, życzliwej opieki tej wspaniałej obywatelki. Towarzystwo "Polonia", którego członkiem honorowym od lat jest p. Czaplńska, postanowiło obecnie wreczyć p. Czaplńskiej dyplom pamiątkowy, dla dania wyrazu wdzięczności wielkiej rzeszy polskiej emigracji, która tyle dobrego od niej doznała. Ostatnio każdy transport naszych ochotników zapamiętał sobie dobrze postać dobrej, kochanej p. Janiny, która zjawia się czy to w świetlicy czy też na pokładzie mającego odejść statku z tysiącami papierosów i olbrzymimi ładunkami kiełbas, zakąsek, piwa, łakoci i t. p. cudów.

(Trudno pisać o sobie, ale coś przecie trzeba, choćby ograniczając się do prostego komunikatu: przygotowuję na nadchodzący sezon swoją wystawę malarską, na którą złożą się prace paryskie i brazylijskie.)

ZYGMUNT STOJOWSKI

DEBIUT HENRYKA SZERYNGA

Obiegła niedawno tutejsze koła muzyczne pogłoska, że podczas koncertu wielce oklaskiwanego skrzypka w Carnegie Hall, wpadł do łóżki inny sławny skrzypek, zadyszany i ze skąga na ustach: "Ach, jak tu gorąco!" "Nie dla pianistów" mruknął pod nosem siedzący w łóżki znany pianista.

Dla rewolucyjnej Europy z przed lat 100 Paryż był Mekką artystycznego świata. Skarżył się w nim uchodźca, poeta Henryk Heine na istną "powódź pianistów". Przesnął się środek ciężkości świata przy szalejącej nad Europą burzy dziejowej: Mekka dla wędrowców stał się bodaj czasowo New York. I tu zalewa nas znów fala pianistów. Powtarzają się bowiem w historii zjawiska i ludzkie nań odruchy.

Mielśmy już kilkakrotnie przyjemność stwierdzić na łamach "Tygodnika", że w międzynarodowym turnieju, cały szereg wybitnych polskich pianistów wysunął się na czołowe miejsca. Skromniej liczebnie przedstawiał się dotąd udział skrzypków naszych. To też z radością powitać wypadła zjawienie się p. Szerynga jako cennej zastępów mnożenie, choćby się nie którzy po lożach znów pocić mieli. Młodzieńki ten artysta poprzedzony już sławą, jaka zjednał mu występy w przedwojennej Europie i w Ameryce Południowej, jakby dorzucił do naszych obchodów 25-lecia wskrzeszonej Rzeczypospolitej, wonny kwiat własnego dwudziestopięcioletniego talentu w wiosennym rozkwicie i blasku.

Jakby na dowód, że nie Polska a Carnegie Hall "nierzadkiem stoi" rozpoczął się koncert pod znakiem zamieszania z powodu braku pulpitu a fortepianu dla akompaniatora. Niejednego wytrawnego artystę, poszukiwania, w ciągu których stał miał na estradzie samotny i bezczynny, wytraciłoby mogły z równowagi. Lecz gdy wreszcie znalazł się pulpit z jakiegoś kąta wyciągnięty, grać począł Szeryng bez śladu zdenerwowania a z oczywistą brawurą. Program wzorowany był na modłę powszechnie wśród skrzypków przyjętej konwencji: najpierw starszy utwór, następnie sonata na fortepian i skrzypce, klasyczna lub nowoczesna, na trzeci główne danie koncert skrzypcowy bez orkiestry z towarzyszeniem niepozbytego fortepianu — w drugiej części leższa strawa z wirtuozowskiego i nowoczesnego zaczerpnięta repertuaru. Układ to niekoniecznie zrównoważony, w pierwszej połowie nieraz za ciężki, w drugiej często na galerię tylko obłożony. Lecz na nie się nie zda pletnować utarte pojęcia i przyjęte konwencje.

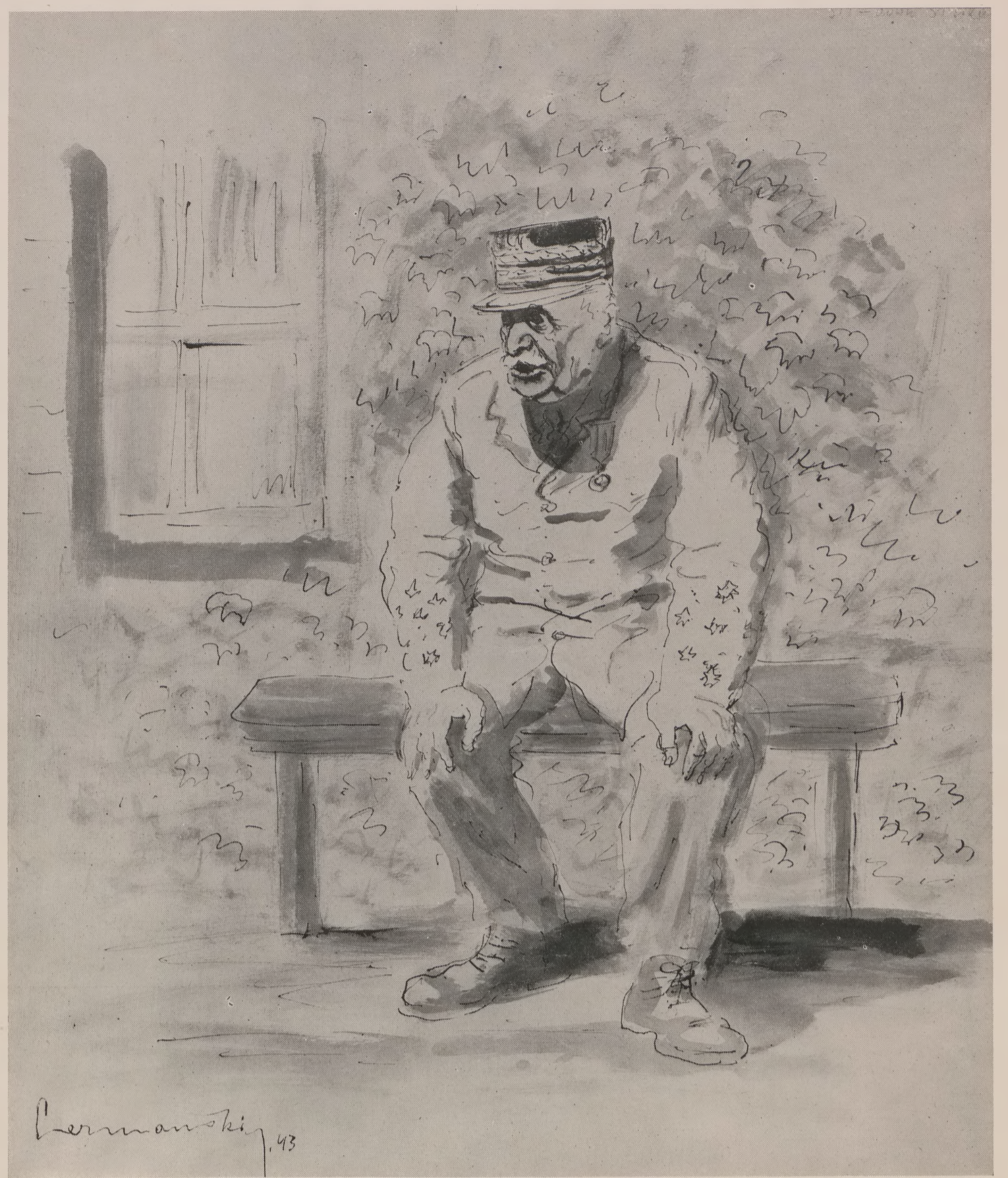
Winnę tu zapewne ubóstwo skrzypcowej literatury. Mógłby też fortepianista oddać wet za wet autorowi słynnej swego czasu skrzypcowej "Gezangzene" Spohrowi, który określał fortepian jako instrument, na którym trzeba grać chyba bardzo przedko albo weale nie. Rzezybno, że na skrzypkach grać należy melodie wolno i śpiewnie, lecz zwykłe skrzypcowe pasaży mają tyle znaczenia, ile świergot wróbi na dachu. Nie rozczułał zbytnio melodia Szeryng, lecz chwalił mi, że program jego nie grzeszył też nadmiarem płytkiej wirtuozerii. Wybró jego padł najpierw na szlachetny "Chaconne" Vivaldiego, która odrazu ujawniła piękny ton, rzetelną muzykalność, nieposzlakowaną czystości w oktawach, istotne smyczka mistrzostwo.

Następowała sonata Beethovena Kreutzerowska zwana. Jeśli prawdą jest, że część jej pierwsza dyszy taką namietnością, iż do zbrodni pobudzić może, jak chce Tolstoj w znanej swiej a dziwniej powieści noszącej tytuł tej sonaty, to pamiętać jednak należy, że namietność pospiech raczej wyklucza. Twierdził Tolstoj, wbrew opinii o arcydziele, że następne warjacje są banalne, a ostatnia część wręcz słaba. Doskonałe technicznie wroć wykonanie, lecz przy szybkich tempach nie to ma śnać obmyślany, by zadać kłam twierdzeniom Tolstoj. Wbrew powszechnemu dziś nalogowi, pospiech jednak nie przekonuje i mniej oświeca, niż się wirtuozom zdaje. Wzmocniła na jasność przy mniejszej szybkości, uczył Mistrz Paderewski, raczej potęguje samej szybkości wrażenie.

Zawsze miłym polskiemu sercu muzyka czy laika, jest koncert Wieniawskiego. Mimo pewnej nuty sentymentalnej i faktury, która traci Mendelsohnem, co jest niepokład komplementem, ma on również rysy polskie i wyróżnia się dodatnio wśród współczesnej produkcji skrzypków-kompozytorów. Świetne ze wszech miar było jego wykonanie. W ostatniej części programu znalazł się znów utwór polski Karola Szymanowskiego, który bodaj jedyny z kompozytorów nowoczesnych rozszerzył znacznie repertuar skrzypcowy, przydając doń własną a nową nutę technice instrumentu i ekspresji muzycznej. "Pieśń Roxany" przełożoną była na skrzypce przez nieodżałowaną pamięć Pawła Kochańskiego, z prawdziwym przyjaciela i muzyka pletzem.

Naogół biorąc wychodziło się z Carnegie Hall po wiele pomyślnym debiucie z przyjemnym uczuciem, że w przepięknej naszej nowej Mece znajdzie się jednak miejsce dla ostatniego z Polski przybyzsa, bo zawsze i wszędzie dużo jest miejsca na wyznych.

TEKA CZERMAŃSKIEGO



"Sit Down Strike" — (Marszałek Petain)

OSKAR HALECKI

Marceli Handelsman

Wiadomość o zamordowaniu prof. Handelsmana przez Niemców nadeszła już kilka tygodni temu. Pozostawał jednak jeszcze cieni nadziei, że może się ona okazać mylną pogłoską. Dziś, jak ta potworna wieść, zdaje się być niestety całkowicie pewna, należy uprzytomnić sobie całą wielkość straty, jaka przez tę śmierć męczeńską poniosła nauka polska.

Prof. Handelsman należał do najznakomitszych historyków naszego pokolenia. Wyszedłszy ze świetnej szkoły Szymona Askenazego, zaczął za jego przykładem od badań nad epoką napoleońską. Cenne dzieło o rezydentach francuskich w Księstwie Warszawskim, połączone z doskonałym wydanem ich raportów, odrazu postawiło młodego wówczas uczonego w rzędzie najbardziej obiecujących pracowników na polu naszej historii porobiorowej. Już jednak w pierwszych pracach swoich uwzględnił on równocześnie dzieje średniowieczne, nie cofając się przed najtrudniejszymi zagadnieniami prawnoustrojowymi. Łącznikiem między tak odległymi naporóż dziedzinami jego zainteresowań były niezwykle głębokie studia nad zagadnieniami narodowościowymi. Cofając się bowiem aż do czasów Cola di Rienzo, śledził rozwój tego problemu aż w głąb dziejowatego stulecia, ilustrując go przykładami z zakresu stosunków polsko-francuskich, które zawsze i wszędzie badał ze szczególnym zapętem.

Niesposób wylizcać tutaj niezliczone jego prace, czasem ukryte w publikacjach zbiorowych polskich i obcych, nieraz ubrane w szatę barwnie napisanych szkiców historycznych. Trzeba jednak wspomnieć o najnowszym, o głównym przedmiocie badań prof. Handelsmana w ostatnich latach życia. Była nim wielka postać Adama Czartoryskiego. Przygotowywał zarówno wydanie jego korespondencji, jak też wyczerpującą biografję księcia. Niestety zdołał ogłosić tylko szereg przyczynków monograficznych, wprost rewelacyjnych, zwłaszcza o ile chodzi o politykę Czartoryskiego wobec narodów słowiańskich. Dał też doskonałe streszczenie osiągniętych już wyników w artykule o księciu Adamie, pomieszczone w Polskim Słowniku Biograficznym.

O rozległości widnokręgów naukowych tragicznie zmarłego profesora świadczą wreszcie jego studia nad metodologią i filozofją historii. Zwięzłe ich ujęcie w tomie, który za wzorem Lelewela nazwał "Historyką", stało się, w dwóch kolejnych wydaniach, nieocenioną pomocą dla wielu tysięcy studentów, którzy znajdowali w nim teoretyczne i praktyczne zarzecz przygotowanie do swego zawodu. Było to tem większą dla autora satysfakcją, że ten twórczy, wysocy oryginalny badacz i pisarz był zarazem niepospolitym pedagogiem z powołania i zamiłowania.

To też po ćwierćwieczu pracy profesorskiej otaczał sp. Marcelego Handelsmana liczny zastęp uczniów, entuzjastycznie mu oddanych, z których niejedni już sam wykladał na Uniwersytecie lub zajmował po-

ważne stanowisko w archiwum lub bibliotece. Tymi uczniami opiekował się prawdziwie po ojcowsku, równocześnie zaś wprowadzał ich we wszystkie tajniki metody naukowej. Obejmował zaś w to działalności pedagogicznej te same szerokie horyzonty, co we własnej pracy badawczej. Dość wspomnieć, że jedno z jego świetnie prowadzonych seminarjów zajmowało się przez szereg lat historją Merowingów, gdy równocześnie inna grupa uczniów prof. Handelsmana pracowała nad dziejami Królestwa Kongresowego. Długi szereg samodzielnych prac naukowych, napisanych pod jego kierunkiem i wydanych jego staraniem, pozostanie trwałym rezultatem tych jego wysiłków.

Łącząc się one z inną jeszcze zaletą, jaka odznaczał się zmarły w rzadkim u nas stopniu. Był nim niepospolity talent organizacyjny. Nawet żmudne obowiązki administracyjne pełnił nie tylko sumiennie i umiejętnie, lecz chętnie. Skorzystał z tego przede wszystkim studjum historii, które zorganizował w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, zdobywając dla tego umiłowanego Instytutu w przeddzień wojny wspaniały lokal. Ale skorzystał zarazem cały Uniwersytet a zwłaszcza jego wydział humanistyczny. Niestrudzony od chwili uruchomienia Uniwersytetu pod okupacją niemiecką podczas pierwszej wojny światowej, prof. Handelsman mógł rozwiniąć wszystkie swoje organizacyjne zdolności, odkał przez szereg lat piastował godność dziekana wydziału humanistycznego, raz po raz wybierany na to stanowisko, na którym zdobył sobie niezwykle wprost zasługi.

Najlepiej jednak zorganizował stosunki polskiej nauki historycznej z zagranicą. Najbliższą mu była zawsze sprawa stosunków z Francją, gdzie pozyskał og'łne uznanie, najlepiej wyrażone przez wybór na członka czynnego "Institut de France". Ale i w tej dziedzinie ten profesor historii powszechniej chciał i umiał być uniwersalnym. Jako stały delegat Polskiego Towarzystwa Historycznego dla stosunków międzynarodowych, zaciętnieł te stosunki w sposób nadzwyczaj szczęśliwy. Jego to głównie było zasługą, że w r. 1933 Międzynarodowy Kongres Historyczny w Warszawie udał się

tak znakomicie. Na następnym, odbytym w r. 1938 w Zurychu, gdzie z jego inicjatywy ukazała się piękna książka o stosunkach polsko-zwajcarskich, został wybrany, po rezygnacji prof. Bronisława Dembińskiego, do Zarządu Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych, w którym od chwili założenia pracował z wielkim dla Polski pożytkiem.

Nie doczekał się prof. Handelsman wznowienia działalności tej organizacji, tak jak nie doczekał się ponownego otwarcia, po zwycięskiej wojnie, ukochanego Uniwersytetu Warszawskiego. On, który w r. 1920, jako człowiek już niemłody, wstąpił do wojska i walczył na froncie wschodnim, teraz w r. 1943, poległ jak żołnierz w walce całego społeczeństwa polskiego z najeźdźcą z zachodu. Ile przecierpiał, patrząc w r. 1939 na zniszczenie Warszawy, do której tak głęboko był przywiązany, a potem, przez długie cztery lata, na systematyczne niszczenie tego wszystkiego, co mu było drogim w życiu, tego nigdy się nie dowiemy. Wiemy tylko, że zdobył sobie w ten sposób zaszczytniejsze jeszcze miejsce wśród historyków polskich, jako jeden z tych, którzy nie tylko badali i wykładali nadsze dzieje ale przeżyli ofiarnie ich najboleśniejszą tragedję.

W POPRZEDNIM (49) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Zygmunt Tebinka: Jak powstał wszechświat (Teoria prof. G. Mokrzyckiego); Zdzisław Broncel: Z sonetów uralskich (Msza w baraku; Do Litwino; Łazarz; Step); Leon Kosznicki: Blaski i nędze Canaletta; Jan Lechoń: Śpiewak "Karpackiej Brygady"; Zygmunt Stojowski: Koncert Artura Rubinsteina; Dr. Alfred Bilmanis, Latvian Minister: Latvia — New Name — Old Nation; Marja S. Gutowska; Właściwe odżywianie człowieka kluczem lepszej przyszłości; Opinie i zdarzenia; Listy do Redakcji.

NABYWAJCIE PÓKI STARCZY NAKŁADU I ROZDAWAJCIE MIĘDZY WASZYCH PRZYJACIOŁ AMERYKAŃSKICH

NUMER "TYGODNIKA POLSKIEGO"

W JĘZYKU ANGIELSKIM

POŚWIĘCONY WARSZAWIE

16 stron druku, przeszło 60 ilustracji

Artykuły najwybitniejszych pisarzy polskich i deklaracje czołowych osobistości amerykańskich



Dora Kalinówna

OPINIE I ZDARZENIA

"BIEDRONKA" UCZY POLSKIE DZIECI

Jedne pismo podziemie w Europie dla dzieci, "Biedronka", wydawana w Polsce okupowanej, redagowana jest barwnie i żywo, zawiera szereg opowiadań wojennych dla młodych czytelników i czytelniczek, wierszyki i wskazania.

Oto tekst wiersza w jednym z ostatnich numerów "Biedronki", spełniającego rolę artykułu wstępnego:

Modlitwa Polskiego Dziecka

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Niesmiertelny!
Ja, dziecko kraju, który żyje w męce
proszę, do stóp Twoich świętych
wznosząc ręce:
Daj bym był dzielny!

Daj mi moc męża i daj dumę męża.
Niech serce moje dla Polski uderza
takim uczuciem, co wszystko zwycięża —
miłością syna, wiernością żołnierza.

Roztocz opiekę nad moim własnym domem,
chroni go przed klęską i ciężką żałobą.
Ojciec, wysłuchaj gorącej modlitwy
polskiego dziecka i strzeż dobru Boże
naszych żołnierzy, którzy w ogniu bitwy
walczą w powietrzu, na lądzie i morzu.

Następują opowiadania o Kazim D. szesnastoletnim uczniu ze Śląska, który przedostał się przez zieloną granicę do wojska polskiego, walczył we Francji i Norwegii, gdzie stracił nogę, został udekorowany przez Wodza Naczelnego a potem został stypendystą Związku Narodowego Polskiego w Ameryce, o "Ciapku", żywej magkie Polskich Dywizyj Bombowych w Anglii — wreszcie "Wskazania i pytania": "Nie gap się na przejeżdżających Niemców. Nie porwij się ze wskazywaniem im drogi czy co gorzka z pomocą przy reperacji samochodu."

Ucz się — bo Niemcy chcą, byś był głupi — pilna nauka to też walka z Niemcami. Ucz się wierszy patriotycznych na wieżach wigilijnych. Czy w Twojej izbie jest znak Polski — Orzeł Biały?

Czy umiesz narysować orła polskiego lub wyciąć z papieru? Czy umiesz wiersze Konopnickiej: "Nie wzdriciecie". Kto jest obecnie Prezydentem Polski — kto Wodzem Naczelnym? Kto stoi na czele Rządu Polskiego?"

"Biedronka" wydawana w najtrudniejszych warunkach, w jakich kiedykolwiek w dziejach świata wydawano pismo dla dzieci i młodzieży — dobrze spełnia swe zadania a posiadając tysiące nielegalnych czytelniczek wśród najmłodszego pokolenia polskiego, utrzymuje ich w wierze, nadziei, zwycięstwa i miłości ojczyzny.

PAN ZŁOTOWSKI

Rejestr nowoczesnym fargowiczem wzrasta. Ledwie przestaliśmy się czerwić po jednym wystąpieniu, o którym pisałyśmy niedawno, już ogarnia nas wstyd z powodu drugiego. Tym razem przeciw Polsce wystąpił niejaki p. Ignacy Złotowski. Relację z jego przemówienia radjowego przynosi New York Post z dn. 29 listopada (ważna data!) b. r., w artykule pod wdzięcznym tytułem: "Pole Urges Russia's rights".

Pan Złotowski, jak czytamy tam w notatce rekomendującej autora, jest profesorem fizyki w Vassar i poprzednio był profesorem w Warszawie. Dotychczas mniej on był znany ze swoich wystąpień politycznych w sprawach polskich i troska narodo- wa ocknęła się w nim widocznie niedawno, w czasie, który jakoś szczególnie sprzyja różnym głośnym "krzykom sumienia" i powszechnemu nawróceniu błądzących.

P. Złotowski sądzi, że "oparcie jakiegokolwiek dyskusji dotyczącej naszych granic wschodnich na podstawie traktatu pokojowego zawartego w Rydze nie wydaje się logiczne". Wynika z tego, że ściślemu umysłowi profesora odpowiada bardziej logika oparcia każdej dyskusji w tej sprawie na traktacie, który zawarł hitlerowski minister Ribbentrop z sowieckim ministrem Molotowem. Na traktacie, który był nową próbą rozbioru Polski. Na traktacie, którego nie uznaje nikt na świecie, poza Niemcami, bo przecież nawet Rosja oficjalnie go się wyrzekła... Brawo, logiczny profesor!

W dalszym ciągu p. Złotowski porusza sprawę mniejszości ukraińskiej i białoruskiej w Polsce, posługując się logiką tej samej kategorii. Nieszcześnie, nigdy u nas rozumnie niepostawiona i nierozwiązana kwestia mniejszości narodowych budziła i po dziś dzień budzi troskę wszystkich uczciwych Polaków. Pomijając obecne forum, przed którym p. Złotowski uważał za stosowne podjąć te bolesne ale tylko naszą wewnętrzną sprawę, sposób w jaki chciałby ją rozstrzygnąć wydaje się tego samego pochodzenia co idea linii Ribbentrop-Molotow. Jeśli p. Złotowskiemu leży istotnie na sercu los Ukraińców, niech zastanowi się nad ich położeniem w Sowietach. Niech pomyśli o deportacjach ludności z pogranicza polsko-sowieckiego po stronie sowieckiej, na wiele lat przed wojną, o wielomilijonowych wysiedleniach Ukraińców na Syberję, o sowieckiej polityce żywnościowej podczas głodu i o wielu innych aktach "terroru i gwałtu", które umniejszały Ukraińcom niewątpliwie dla p. Złotowskiego szczęście zwycięstwa z Moskwą. Jeśli jednak myśli te są z jakich względów dla p. Złotowskiego niedostępne, niech głosi konieczność powiększenia ziem sowieckich dla samej zasady, tak miłej Moskwie, a nie w związku z losem Polski albo z losem Ukraińców. To będzie jasne, proste — i logiczne.

Nie byłoby powodu rozwodzić się nad wystąpieniem p. Złotowskiego, gdyby nie fakt, że takie wypadki, w których jakiś "Pole urges Russia's rights", połączone są z oskarżeniami rzucanymi na nasz kraj z najcięższej chwili jego dziejów. Postępki takie oszdi czas i nazwie je po imieniu. Dziś już jednak opinia polska musi mieć tyle godności, aby te wystąpienia napiętnować a od ich autorów się odgradzić.

JÓZEF WITTLIN PO HISPANSKU

Powieść Józefa Wittlina "Sól ziemi", która została już przełożona na kilka języków a w Stanach Zjednoczonych pozyskała autorowi wysoce zaszczytną nagrodę amerykańskiej Akademii Literatury — ukaże się niedawno w przekładzie hisz-

pańskim w Buenos Aires nakładem wydawnictwa Editora Inter-Americana. Przekład dokonał Leon Mirras. Dochodzą nas głosy, że "La Sal de la Tierra" Wittlina spotkała się tak jak w innych krajach z bardzo pochlebną oceną krytyki krajowej Ameryki Południowej. Przekład hiszpański jest już jedenastym z rzędu przekładem polskiej powieści, jest to więc sukces wyjątkowy nie tylko w dziejach literatury polskiej. "Sól Ziemi", pierwszy tom nieskończonej jeszcze trylogii p. t. "Powieść o cierniowym piechurze", jest jednym z nielicznych dzieł polskich, które weszły triumfalnie do literatury światowej.

SZKIC BIOGRAFICZNY O KOŚCIUSZCE PO ANGLISKU

Szkic biograficzny Józefa Wittlina o Tadeuszu Kościuszcze, zamieszczony został w wydanej ostatnio nakładem nowojorskiej firmy Farrar and Rinehart książce p. t. "The Torch of Freedom" pod redakcją Emila Ludwiga i Henry B. Kranza. Książka ta zawiera dwadzieścia żywotów wielkich wygnańców na przestrzeni dziejów ludzkości. Napisana jest przez dwudziestu współczesnych wygnańców. M. i. żywot Owidiusza przez Liona Feuchtwangera, Norweskiego króla Olafa (wiek XI) przez Sigrid'ę Undset, duńskiego astronoma Tycho Brahe przez Karin Michaelis, Woltera przez Yvan'a Golla, Bolivara przez Julio Alvareza del Vayo, Byrona przez André Mauroisa, Garibaldi'ego przez hrabiego Carlo Sforza, Zoli przez Heinricha Manna, Tomasa Masaryka przez jego syna, Jana

"ZWIĄZEK PATRIOTÓW POLSKICH"

Dziennikarze amerykańscy, którzy byli niedawno w Sowietach, opowiadają, że po ogłoszeniu deklaracji Polskiego Związku Patriotów, zainteresowani niezwykle tym ruchem, starali się zetknąć z jego przywódcami. I otóż — poza Wandą Wasilewską żadnego dosłownie z przywódców nie było w stanie zobaczyć. Kiedy poszli do "Wolnej Polski" zobaczyli tam Wasilewską, zaledwo przejechali do "Nowych Wiodokregów" już zastali tam znów te same Wasilewskie, która w pół godziny potem przyjęła ich w Związku Patriotów. Gdyby poszli teraz do "Płomyżka" (co za wzruszający tytuł!) teżby nikogo poza Wasilewską prawdopodobnie nie zobaczyli. Jest rzeczą prawie pewną, że różne nieszczone osobistości, które z tą świadomą zdradzieczią Polski współpracują — są to osobnicy obawiający się o swoje życie, którzy jak szereg polskich intelektualistów we Lwowie w 1939 r. podpisują co im dają do podpisania, byle tylko to życie uratować, a nawet aby innym Polakom nieść ulgę i pomoc. O tem, żeby "Związek Patriotów" był świadomym masowym ruchem polskim za Sowietami może sobie pisać "Głos Ludowy", ale chcemy wierzyć, że nawet Tuwim w to nie wierzy.

ŚWIETNY ODCZYT

Pierwszy z cyklu odczytów Anatola Muhlsteina o polityce polskiej odbyty w piątek 3-go grudnia we francuskiej Ecole des Hautes Etudes, miał za temat stosunki polsko-niemieckie w czasie pomiędzy dwoma wojnami. Odczyt ten był dla większości bardzo licznie zgromadzonej polskiej, amerykańskiej, belgijskiej i francuskiej publiczności rewelacją.

Muhlstein zatrzymał w analizie wypadków historycznych, w ich pewnej i śmiałej syntezie, połączył przenikliwość psychologiczną z szerokością spojrzenia, obiektywnością z najgłębszą troską patriotyczną; odczyt powiedziany wyrafinowaną a zarazem najnaturalniejszą francuszczyzną, był wzorem wykładu i wzorem dla naszej propagandy.

Tezy Muhlsteina dadzą się sprowadzić do trzech wniosków: 1. Niemcy zawarły pakt z Polską, by wciągnąć ją do wojny przeciw Rosji, na co Polska od pierwszej chwili nie poszła; 2. Marszałek Piłsudski zawarł ten pakt, spowodowany przez pakt Czte-rech — ale zdawał sobie doskonale sprawę z tego nieoście i nie chciał go pojąć; 3. Następnie Piłsudskiego zgrzeszył brakiem przenikliwości politycznej i sądził, że Niemcy silne — będą prowadzić tę samą politykę wobec Polski, co Niemcy słabe. Też tych dowiół Muhlstein z tekstami w rękę, operując znakomicie sztuką portretową, subtelnym dowcipem, budząc raz po raz sensację jak wtedy gdy stwierdził, że Piłsudski był jedynym mężem stanu w Europie, który odmówił spotkania się z Hitlerem.

Powiedziawszy otwarcie wszystko co myśli o bledach naszej polityki, podkreślił zarazem Muhlstein, że była ona niejako funkcją znacznie cięższych bledów popełnianych na Zachodzie. Na te te krytyki odważnej, poważnej, taktownej i naprawdę patriotycznej — tem mocniej wypadł obraz Polski nieugiętej od pierwszej chwili do dziś i mającej prawo do podziwu całego świata, obraz, którym prelegent, widocznie wzruszony, zakończył swój świetny wykład.

Niezrównany i namiętny Gregoire, dziekując mu jako przewodniczący — w plomiennej filipice przypomniał jak to liberalna Europa zykowała się z uczuciem ulgi na zlikwidowanie "korytarza" przez Niemców, pewna, że to jej zapewni miły spokój.

WYKŁADY PROFESORA LEDNICKIEGO

Jak już donosiliśmy, profesor uniwersytetu krakowskiego Wacław Lednicki, obecnie wykładowca na uniwersytecie Harvard, został zaproszony przez Lower Institut do wygłoszenia cyklu wykładów o historii i literaturze polskiej. Wykłady te odbywały się dwa razy tygodniowo w Boston Public Library przy ogromnej frekwencji publiczności. Z okazji tych odczytów "Boston Sunday Post" ogłosił spory artykuł o profesorze Lednickim, podkreślając wysoki poziom naukowy jego wykładów oraz ich propagandowe zasługi dla kultury polskiej. Autor artykułu podniósł ze szczególnym uznaniem, iż profesor Lednicki nie występował jako zwykły propagandzista, lecz że w rzetelny i obiektywny sposób wydatnił wartości kulturalne Polski, nie ukrywając stron ujemnych naszej historii. Ten naukowy, spokojny i uczciwy ton wykładów wywarł głębokie wrażenie na audytorjum,

które dwa razy tygodniowo dążyło do biblioteki, by nie spóźnić się na niesłychanie interesujące wieczory profesora Lednickiego.

Przy tej okazji autor opowiada szereg szczegółów z życia profesora Lednickiego, tak bogatego w przygody i przeżycia. Profesor Lednicki udaje się w najbliższym czasie do Londynu, gdzie został zaproszony przez rząd polski.

CZY WIECIE ŻE...

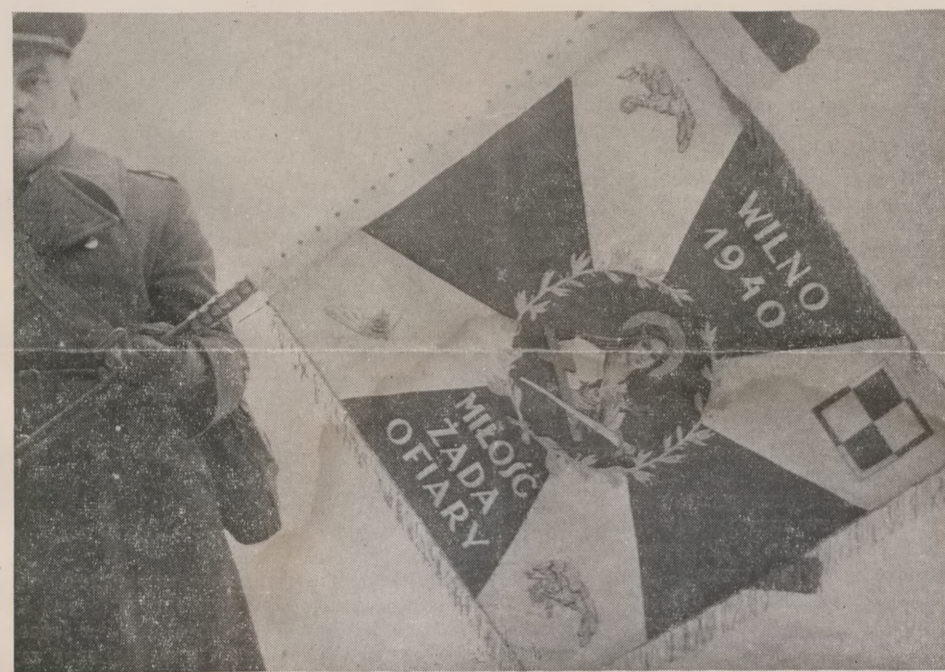
...polski okręt podwodny "Dzik", patrolując wybrzeże Korsyki, zatopił dwa okręty niemieckie, trzy barki, a na trzech innych okrętach wznicił pożary. Ponadto zatopił prawdopodobnie wielki transportowiec i okręt cysterny. Niezależnie od tych ostatnich wyników, "Dzik" ma na swym rozkładzie kilka innych okrętów nieprzyjacielskich, "upolowanych" w czasie walk o Sycylię.

...że Niemcy ponieśli tak ciężkie straty w ludziach na frontach wschodnim, afrykańskim i włoskim, iż obecnie powołują do wojska nawet "dziadków". Ostatnie zarządzenia niemieckie przewidują obowiązek służby wojskowej dla mężczyzn w wieku do lat 69-ciu włącznie.

...okręt podwodny ORP "Piorun", który wyróżnił się w walce z "Bismarckiem" i w bitwach atlantyckich — w czasie operacji morskich podczas walk na Sycylii i desantu na południowe Włochy eskortował najpóźniejsze okręty brytyjskie "Nelson" i "Rodney" i wraz z temi okrętami brał udział w bombardowaniu wybrzeża Kalabrii w cieśninie Messyny.

...polska prasa podziemia wydaje już od jesieni 1940 roku specjalne ulotki, piśmie i broszury, drukowane w języku niemieckim a rozpowszechniane wśród żołnierzy i urzędników niemieckich w Polsce okupowanej. Źródłem informacji, przedstawiających w sposób rzetelny sytuację militarną Niemców — są audycje polskie z Londynu i z pism tych żołnierzy niemieckich dowiadują się — prawdy, nie zmaconej propagandowemi "mgielkami" biur Goebbelsa.

...w wyniku akcji SH Zbrojnych Sił Podziemnej — Niemcy zmuszeni byli do wydania dwóch dywizji szturmowych Waffen S. S., by wzmocnić garnizony Gestapo w województwie nowogródzkim.



SZTANDAR Z WILNA
uszyty przez Polki w roku 1940 i przewieziony potajemnie do wojsk polskich w Anglii

W. GORCZYŃSKI

RUSSIA AND POLAND

An average man in the street or an average story writer usually thinks that, because the Red Army is fighting Hitler's legions, we should accept or even agree with nearly all that the Communists are doing. The American opinion nowadays seems to have the tendency to worry if some circles criticize the Soviet rulers.

But, if the whole democratic world heartily supports the statement that the defeat of Germany is the prime item on the actual agenda, every honest and enlightened man still thinks that the maintenance of moral principles in this troubled world should not be disregarded. This is especially important for a good conduct of the present war and it will greatly help to win the peace after crushing Hitler.

Most of us still recall the politics of appeasement practised before and during Munich and their terrible consequences resulting in the second World-War. This is true for Hitler, for Stalin or other dictators. We could not agree that any violation of the elementary moral rights by the Soviet rulers should be passed in silence, tolerated or even encouraged.

Let us recall the recent facts concerning the Russo-Polish relations. Both parties had a solemn treaty and a non-aggression pact; this treaty voluntarily concluded several years ago and still continues to be valid. In September of 1939 a few days after Hitler's hordes invaded Poland, Soviet rulers attacked without slightest provocation from the Polish side, and seized the Eastern part of Poland with more than ten million inhabitants. This attack, not only treacherous but profoundly immoral, has been made and executed after a prearranged agreement and with every possible assistance of Hitler.

Every honest or at least self-respecting government would, in a case of such a seizure, consider itself as a trustee to protect the occupied territory and to restore it in due time to the proper national body according to the existing international treaties. But the Soviet rulers did not act so. During a little more than 1½ years of Russian occupation, Eastern Poland has been submitted to the worst kind of treatment such as the immediate spread of

...co osmy samolot niemiecki, zniszczony w czasie "Bitwy o Wielką Brytanie" został zestrzelony przez Polaka, pomimo, że Polskie Siły Powietrzne liczyły wówczas za ledwie dwa dywizyjny myśliwskie i tylko nieliczni piloci polscy walczyli pojedynczo lub po kilku w dywizjonach brytyjskich.

ŚMIERĆ SOPOCKI

Razem z załogą "Orkana" zginął śmiercią marynarza por. Sopoćko, znany polski pisarz wojenny, którego artykuły pomieszczone w "Wiadomościach Polskich", w "Polsce Walczącej" jak również książki, są najważniejszym bodaj w tej wojnie materiałem literackim do dziejów polskiej marynarki.

POLSKA NA FALACH RADIOWYCH

Z okazji dwudziestopięcioletnia odzyskania niepodległości przez Polskę przez Kola Polskiego w Miami, Floryda, p. W. Zymalski wygłosił na stacji WIOD przemówienie, w którym wystąpił ostro przeciwko zamiarom aneksyjnym Rosji w stosunku do Polski. "The people of the United States have always refused to recognize acquisition of territory taken by force or treachery and we feel that the claims of the Republic of Poland, the first country to fight the brutal Nazi gangsters, will be recognized and stabilized". Przemówienie poprzedził i zakończył polski hymn narodowy.

DZRODZINY BAL FUNDACJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ

Niedawno odbyło się zebranie komitetu dorocznego Balu Fundacji Kościuszkowskiej.

Zebrani jednomyślnie uchwalili, by bal odbył się jak zwykle w Hotelu Waldorf-Astoria, w dniu 21-go stycznia.

Będzie to 11-ty z rzędu doroczny bal Fundacji. Jak w zeszłym roku tak i w tym sezonie bal będzie nosił nazwę "Polka Military Ball".

Ze względu na okres wojenny, kiedy chłopcy w cywilu jest mało, Komitet dołoży starań, by umożliwić wstęp na bal jak największej ilości chłopców w mundurach. W tym celu wydane zostały specjalne bilety po \$1.00 od osoby dla wojskowych. Komitet ma nadzieję, że wiele osób

zakupi pewną ilość tych biletów, by je rozdać wojskowym. W roku ubiegłym na Balu Wojskowym Polka Fundacji Kościuszkowskiej było około 500 żołnierzy, marynarzy, lotników etc.

Jak w latach poprzednich powzięto plan przedstawienia polskich debiutantek. Komitet Debiutantek otrzymał już wiele zgłoszeń.

Ciekawie zapowiada się również program sceniczny — krótszy niż dawne, ale bardzo ożywiony i nowy.

Bilety wstępu po \$3.30 od osoby (wraz z podatkiem) można nabyć u członków Komitetu lub w biurze Fundacji Kościuszkowskiej: 149 East 67th Street, New York 21, N. Y., Tel. RHineland 4-7375. Po tej samej cenie są bilety do łóż na drugim balkonie. Łoże te pomieszczą 6 i 8 osób.

HISTORIA SIĘ POWTARZA

Coraz częściej bataljony niemieckie są dowodzone przez — poruczników jak w r. 1918. Ostatnio jeden z komunikatów Oberkommando der Wehrmacht głosił, że w Rosji "w walkach nad rzeką Mus wyróżnił się 3ci bataljon 70go pułku grenadierów pod dowództwem porucznika Hechta". Podobnie było pod koniec pierwszej wojny światowej, kiedy porucznicy dowodzili bataljonami a sierżanci kompanjami. Fakt ten był uważany przez amerykańskich i europejskich ekspertów wojskowych jako "początek końca".

SID I SYD

Londyński Daily Herald opisał niedawno historię dwóch sąsiadów nazwiskiem Sid i Syd. Mieszkałi oni w jednym domu od dzieciństwa, przyjaźnili się i różnili się tylko w wymawianiu swych nazwisk. Byli razem w szkole i R. A. F. Brali udział w wielkim nalocie na Berlin w jednym bombowcu. Sid jako strzelec, Syd jako bombardier. Wrócili razem z nalotu, Sid siedząc w więz. palnery, Syd w przedniej części bombowca. Obaj nie żyli. W trumnach pokrytych sztandarem brytyjskim, ramie przy ramieniu, zostali przewiezieni do swego miasteczka rodzinnego.

NIEPODLEGŁOŚĆ KOREI

Na konferencji w Kajrze ogłoszona została wola Chin, Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych, aby po zwycięskiej wojnie i rozgromieniu Japonji odbudowana została niepodległa Korea. Bardzo sprawnie i wzruszające. Tylko byłoby jeszcze bardziej wzruszające, gdybyśmy się dowiedzieli teraz z Teheranu, że po rozgromieniu Niemiec odbudowana zostanie nieuszczerplona cała Polska, która pierwsza wystąpiła przeciw Hitlerowi, wtedy kiedy Stalin kumał się z nim, a jego niewolnicy dyplomatycznie łączyli Wielkie Demokracje.

10001 ANEGDOTA O HITLERZE

Hitler, który — jak wiadomo — ma wiele szacunku dla wiedzy tajemnej, skorzystał z pobytu w Berlinie jednego z najslawniejszych astrologów i potajemnie udał się do niego z zapytaniem, kiedy nastąpi dzień jego śmierci.

— W żydowskie święta — odpowiada astrolog.

— Ale w które? Przecież jest ich kilka w ciągu roku. Określ mi je bliżej. W którym miesiącu, którego roku?

— Tego już szczegółowo wiedza moja nie może określić.

— Więc jak doszedłeś do tego, o Wielki Magu, że umrę w żydowskie święta?

— To, bardzo proste. Każdy dzień, w którym zakończy życie — stanie się żydowskim świętem.

PODSŁUCHANE W SUBWAYU

Pierwszy robotnik — Czy jesteś zadowolony ze swojej pracy w fabryce?

Drugi robotnik — Nie. Mam najcięższą pracę, jaką sobie możesz wyobrazić. Pomyśl tylko. Przenoszę szyny żelazne z głównej sali na podwórze fabryczne, tam ładuję je sam na samochód ciężarowy, ja! do stożki, wydławowuję je sam i przenoszę na odległość dwóch bloków.

Pierwszy robotnik — To okropne. Jak długo już pracujesz?

Drugi robotnik — Jutro zaczynam.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO DZIECI

Niemiecki kompozytor D'Albert będąc wdowcem z kilkoro dziećmi, postanowił się ożenić z śpiewaczką, również wdową z dziećmi. Po kilku latach małżeństwa do tej hałasliwej gromadki przybyły dzieci z nowego małżeństwa. D'Albert pracował wazsze wśród gwaru, śmiechów i krzyków licznej rodziny. Pewnego dnia wpadła do jego pracowni pani D'Albert i krzyknęła: "Idź, zrób porządek, bo moje dzieci i twoje dzieci biją nasze dzieci".

OBIECUJĄCA NAGRODA

Jeden z nowych szpitali w Kansas ogłosił konkurs na nazwę dla siebie. Pierwsza nagroda: bezpłatne wycieczki ślepej kieszki.

WYMIANA TELEGRAMÓW

Powien student, kandydat na magistra, wysłał następujący telegram do brata: "Przepadłem w egzaminie, przygotuj ojca".

Na to otrzymał telegraficzną odpowiedź: "Ojciec przygotowany, przygotuj siebie."

Z AFORYZMÓW ANTONIEGO EDENA

My rządząmy światem, a nami... Sowiety.

KALENDARZYK ODCZYTÓW

ODCZYT MUHLSTEINA O POLSCE I ROSJI

Następny z cyklu odczytów Anatola Muhlsteina o problemach polskiej polityki zagranicznej odbędzie się w nadchodzący piątek dnia 10-go grudnia o godzinie 9-iej w New School for Social Research (66 West 12 Street, Sala 25).

Członek Komitetu Redakcyjnego "Tygodnika Polskiego", Zenon Kosidowski, udaje się na kilkotygodniowy urlop zdrowotny i w tym czasie nie będzie brał udziału w pracach redakcyjnych.

NAJLEPSZY PREZENT GWIAZDKOWY

ATLAS OF POLAND OXFORD 1680

Historja i dokładny opis Polski XVII wieku. Wydany luksusowo na najpiękniejszym papierze, z 4-ma mapami Korony, Poznańskiego, Litwy i Ukrainy.

Cena: \$3. łącznie z przesyłką \$5. w pięknej oprawie.

Zamawiać:

Z. TEBINKA
51 East 78th Street
New York City
Tel. BU-4125

"TYGODNIK POLSKI" na stacji W H O M

W KAŻDĄ SOBOTĘ

O GODZ. 5.00 — 5.15

odbywa się

AUDYCJA Literacko-Artystyczna

z udziałem

ARTYSTÓW I PISARZY

zgrupowanych naokoło

"TYGODNIKA POLSKIEGO"

KUPUJCIE ZNACZKI

BONDY WOJENNE

UNION PARTS MFG. CO., INC.

IGNACY, PAWEŁ I MIECZYŚLAW NURKIEWICZ, Właściciele

1.75 Ashland Place Brooklyn, N. Y.

Tel. TR 5-9811

FIVE DAY WONDER COURSE

Od poniedziałku do piątku — po dwie godziny dziennie. — Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania twarzy i ciała. — Jak się należy czesać. — Jak się ubierać, by wyglądać skromnie i elegancko.

Telefonujcie lub piszcie:

HELENA RUBINSTEIN

715 — 5ta AVENUE

New York City

Tel. Eldorado 5-2100

Wysilek wszystkich lojalnych Amerykanów, niezależnie od ich pochodzenia, skierowany jest ku przyspieszeniu zwycięstwa Ameryki.

Tylko wspólnymi siłami przywrócimy będzie trwały pokój na świecie.

W walce o lepsze jutro Stanów Zjednoczonych i Polski walczą Amerykanie polskiego pochodzenia.

Niesiemy im pomoc na froncie domowym — w naszych fabrykach i w naszym codziennym życiu.

ROBACZYŃSKI

MACH. CORP.

OF AMERICA

326 TEN EYCK STREET

Brooklyn, N. Y.

POLISH WEEKLY

Editorial Office:

806 Lexington Avenue

New York City, 21

Tel. REgent 7-4168

Publishers:

Association of Writers from Poland